



A 9436

POWIEŚCI I OPOWIADANIA LUDOWE
Z OKOLIC PRZASNYSZA.

Tom VI.

A9436

49436
BIBLIOTEKA „WISŁY,” TOM VI.

Powieści i Opowiadania

LUDOWE

z okolic Przasnysza.

ZEBRAŁ

Stanisław Chelchowski.

B1230⁶

Część II.



WARSZAWA.

Skład główny w księgarni M. ARCTA.

Nowy-Świat, 53 (róg Wareckiej).

1890.

32-12546

456945 II

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Ноября 1889 года.

A 9436



51-

W początkach r. 1889 opuściła prasę część I *Powieści i Opowiadań z okolic Przasnysza*. Niniejszy tomik stanowi ciąg dalszy powyższej pracy, której całość zajmie przypuszczalnie 5 tomików. Część trzecia obejmie opowiadania, ilustrujące zabobony i przesady ludności miejscowej.

47. O LWIE.

W jednym mieście lew wyjad ludzi, tylko cworo zostało, ale za jakiś czas mniał i tych cworo zjeść. A te cworo byli: dwoje ojców i dwoje dzieci. Te ojce mówio raz do siebie:

— Kiedy mamy zginąć wszyscy, zebyśmy choc jakim prawem mogli te swoje dzieci uratować.

Dopiro wzieni i wsadzili te swoje dzieci w tako wielko banie i zrobili tak, zeby jem dobrze było i zakopali ich pod progiem w domu. Jak lew przyleciał, to oboje ludzi pozer, ale węsny za temy, co siedzieli w bani; ale nijak nimoze ich znalizć. Dopiro złapiuł dłuto i mówi:

— Ciebie zawse w łeb walo, to ty wis, gdzie tu ludzie so i powis mi.

Ono dłuto jemu powiedziało:

— Przerzuć mnie przez twojo głowe, to gdzie ja utchne, tam sukaj ludzi, to ich najdzies.

Jak przerzucił przez siebie te dłuuto, ono trafiło w te same mniejsce, gdzie te dzieci siedzieli w bani i on ich wygrzebał ten lew. Ale oni go uprosili te ludzie, zeby jem darował zycie na chwilke, zeby sie mogli przysy-kować na śmirć. On jem pozwolił jesce chwilke zycia, a sam odysed. A do nich przylata takie wielkie bycysko i mówi:

— Siadajcie, moi ludzie, na mnie, a ja jak bede móg, tak was bede ratował od tygo drapieznego lwa.

I oni posłuchali go i wsiedli na niego, a on zacon z niemy lecić; leci, leci, ale oglądajo sie, a tu juz ich dogania ten lew. Tak ten byk mówi do ty dziewczyny:

— Mas ty chustecke?

Ona odpowiada, ze mam.

— No to mi przewlec jo przez usy.

Ona przewlekła jo i zara za niemy taki strasny bór sie zrobiuł i pare godzin zesło, zanim sie przeder przez ten bór on lew. Ale znowu oglądają się, a on lew niedaleko za niemy. Tak ten byk powieda do chłopca:

— Mas ty chustecke?

— Mam!

— Przewlec mi jo przez usy.

Jak mu przewlók, tak sie stała za niemy taka woda syroka i głęboka, ze ten lew w za-den sposób ni móg sie przez nio przeprawić.

Ale ich zara noc zasa i ten byk mówi do nich:

— Ja teraz wam zdechne, to wy weźcie i ze mnie flaki wybebeście i sami sie układzcie we mnie.

Oni płaco na tego byka, a on jem mówi:

— Nie płaccie, jakem mówił, tak musi sie stać.

Zara tyz sie i tak stało. On zdech, oni go wybebesyli i układli sie w niego i śpio. Nazajutrz wstajo, patzro, a tu taki dwór stoi prześlicny i stoi taki słup, a na niem je tablica, a na ty tablicy jest napisane, ze ten dwór to dla nich. Oni weśli do dworu, w niem wszystko gotowe: dla ni posługacki, dla nigo dubeltówka wisi na ścianie i psy polowe lezo i wszystko, co tylko brak, to jest. Tak oni uzywają w tem dworze świata i dobrze jem. Ale raz ta dziwcyzna posła do ty ogromny wody prać chusty; patrzy, a za to wodo tak pieknie cłowiek gra. Ona mówi do niego:

— Jak ty, cłowieku, pieknie gras!

On odpowiada na to.

— Zeby mnie panienska na tamte strone ty wody przeprawiła, to jabym jesce ładni grał.

— A jakże cie ja moge przepuścić?

— Niech panienska tylko majtnie chusteczko na te wode, to ja przejde.

Jak ona majtnęła, a tu sie przez wode ta ka droga zrobiła i on przelaz. A to nie był cłowiek, tylo ten lew, co sie obrócił w cłowieka. On mówi zara do ni:

— Tera to twoja śmirć bedzie.

Ona go prosi, zeby jy pozwolił przysyko- wać sie na śmirć i pozegnać z bratem. On przystał. Jak posła sie sykować, powiedziała o wszystkim swojemu bratu. Ten brat wzion dubeltówke i zastrzelił tygo lwa. I w taki sposób obronili sie od śmirci i zostali dzie- dzicamy tygo dworu.

(Opowiedział Mateusz Otłowski).

48. O MAĆKU I O BERNADYNIE.

Jeden Maciek chodził zawse do miasta, gorzałe piuł, a jak przysed do dumu, to ko- bite biuł. Ale jedno go razu upiuł sie i jak sed z miasta, posed i układ sie pod wietra- kiem i usnoł. Ale wtedy, jak to esce dawni bernadyni byli, jeden z nich uciek i wstyd go było iść w tem bernadyńskim obliceniu. Jak un napotkał Maćka, rozebrał go z igo oblicenia i włożuł je na siebie, a Maćka oblók w te bernadyńskie suknie i posed dali. Maciek sie obudził, patrzy na siebie i mówi:

— Nie wiem sum, cy ja bernadyn, cy ja Maciek? Ale, póde ja do dumu, to ja mum

tam carno sucke, to jak una bedzie na mnie scekać, to ja bernadyn, a jak sie bedzie radować, to ja Maciek.

Wzion i posed. Una sucka raduje sie mu.

— O, to ja — pejda — Maciek.

Zara lizie do chałupy, a kobita igo jak obacyła bernadyna, jak złapie drapaki, jak zacnie go bębnić:

— Cóz to ty bedzies łaziuł po wsiach i kobity bałamuciuł, zamiast iść do kościoła i śpiwać święte pieśnie.

Un Maciek myśli: „Kiedy mnie własna zuna nie poznała, pewnieć to ja bernadyn.” Wzion zabrał sie i posed do kościoła, usiad miedzy bernadynami i siedzi w ławie i nic nie mówi. A une bernadyny pejdajo:

— A ty cemu nie śpiwas tak, jak i drudzy.

Un nic. Wołajo znou na nigo drugi i trzeci raz. Ale un sie namysłuł i mówi:

— „Kiedyc mi kazo śpiwać tak jak i drudzy, to trzeba zacać.” Jak sie weźnie drzyć:

— Tak, jak i drudzy! Tak, jak i drudzy!

Une bernadyny grabneli go, oblicenie z nigo zderli, skóre mu wyłotosili i do chałupy wygnali. I od tygo casu un Maciek sie poprawiuł, dobrze z kobito zuł, gorzały nie piuł i stało sie juz z niem.

(Opowiedział Adam Adamiak).

49. O ZBÓJU, CO WOŁAŁ „POKLEKAJ.”

Jeden owcarz miał trzech synów, dwóch było mądrych a trzeci głupi. Raz matka usykowała głupiego do kościoła i pejda mu:

— A rzucaj ockamy za dziweckamy!

Un wzion posed do owcarni, nawyjmał owcom ślipiów, nakład ich pełne kiesienie i posed do kościoła. Chtórna dziewczucha najlepší mu sie udała, zacon w nio temy ślipiamy walić, jaz wsystkie wyciskał. Przychodzi do dumu; matka, go sie pyta:

— Cyś rzucał ockamy za dziweckamy?

A un pejda:

— Mamulku, takim rzucał, jaz sie chylały. Matka pejda:

— A od cegózby une sie chylały?

— Bom ja ciskał w nie ślipiamy, com powyjmał owcom.

Pośli do owcarni, bo mu nie wirzali; owce ślipiów nie majo, rzadko chtórna z ślipiamy. Ociec wzion go wytłuk i wygnał w świat, a un wzion ze sobą esce tych dwóch mądrych braci i zielazne drwi od owcarni i pošli w śwat. Pošli do lasa; tamoj stojąła taka duza sośnia; głupi wniós na nio drwi, ustawił w gałęziach; na te drwi wsystka trzech wleźli i siedzo. A tam pod te sośnie przyje-

chali zbóje; rozłożyli ogień i zaceni się gościć, mięso piec i gotować. A un głupi pejda do braci:

— O, bracia, mnie sie chce s.yć.

A uni mówio:

— Na, wys.yj sie choc w choliw, to późni wylejem z ni, bo te zbóje zabiliby nas, jakbyś wys.ał się na nich.

Un pejda:

— Nie chce — i s.y na zbójów, jednemu prosto na łeb.

Ten obejrzał sie i pejda:

— O, bracia, jaki ciepluchny descyk z nieba pada.

Ale un głupi znowu pejda:

— Bracia, chce mi sie s...

Jeden z nich powieda:

— Na, wy.... sie choc w capke, to ja choc późni wyrzuce i wymyje jo.

Ale un nie pyta, tylo wali na zbójów. Zbóje powiedajo:

— A to paśkudne ptacysko wali na nas, tylo mięso num zbrzydziło.

Jeden wzion i strzelał na drzewo, ale trafił we drwi, tylo po nich zadudniało. A głupi pejda:

— Cekajta, bracia, tera ja na nich drwi zwale.

Uni mówio:

— Daj pokój; i sum marnie zginies i nas pogubis, boć wszystkich nas pozabijajo.

Un nic nie chce, tylo kuniecznie zwalać. Wzion zegnał obóch tych braci i te drwi zwala na zbójów. Drwi leco po gałęziach, zbóje się zlékli i pouciekali, a tylo jednego drwi przywalyły. Une bracia zara zleźli z sośni i oglądajo, co zostało. A un głupi bierze tego zbója i pejda:

— Wej, jateś w piątek mnięso, to ci tera z ozora ten grzych zeszkrobie.

Jak mu wyjon ozór, jak zacon skrobać, urznoł mu kawał ozora. A ten zbój, jak mu sie wyder, jak zacnie uciekać i gunić tych zbójów, a prec woła: „Poklekaj! poklekaj!” bo ni móg wymówić „pocekaj.” Une zbóje myśleli, ze un krzycy na nich uciekaj, esce chyzy uciekali. A te bracia zabrali wszystko po zbójach, podzielili się i pošli do ojców i było jem dobrze,

(Opowiedział Adam Adamiak).

50. ODMIANKA TEGOŻ OPOWIADANIA.

Było trzech braci, dwóch mądrych i jeden głupi; i zgodzili się uni wszystka trzech do jednego dworu do owiec: te dwa mądre owce

paść, a ten głupi jeść jem nosić. Uni wygnali owce, a un jem zaniós obiad. Idzie z dwojakamy, ale patrzy, idzie chłop kole niego, a to buł igo cień. Un do nigo:

— Cego ty chces odemnie?

Chłop nic. Un go sie znowu pyta. Chłop nic. Un głupi myśli:

— Dum mu żyć, to pójdzie sobie.

Wzion i wylał mu z dwojaków łyżke na ziemnie; ale chłop idzie dali. Jak mu zaccon wylivać, to, zacem przysed do braci, to juz w dwojakach nic nie zostało. Przychodzi do braci, uni go sie pytajo:

— A obiad gdzie?

— A spytaj sie tygo, co ze mno przysed — mówi un głupi.

— Kogo?

— Nu tygo co tu stojy, sed prec za mno; myślałem, ze mu sie jeść chce i wylałem wszystko z dwojaków.

— O, ty głupaku, toć to nie chłop, tylo cień; ale cóz robić; my musiem iść na obiad, a ty tu zostuń sie i popaś owiec, ale pamiętaj, trzymaj je w grumadce.

Uni pošli, a un myśli sobie:

— „Kazeli mi owce trzymać w grumadce, to trzeba je pozabijać i pokłaść na grumadke.”

Zara wzion pozabijał owce i pokład je na kupe. Une bracia przychodzo, patrzo: owiec

nima; tylo lezo wszystkie pozabijane na grumadzie. A un jem chwali sie esce:

— A co, dobrzem je ogrumadziuł?

Uni sie martwio, nie wiedzo co robić, ale cóz z głupiem za rada. Wzieni zacekali do wiecora i ponosili te owce do owcarni i mnieli na drugi dzień pejdzić panu, ze je wilk w nocy podusiuł. Jak te owce poznosili, pošli na kolacyje. Kucharka jem dała klusków z mlikiem. Ale zaceni je jeść; a ten głupi co weźnie łyzko, to pejda:

— O, zacekajta, jakie wyšta mądre; jak owce to po jedny nosilišta, a bierzeta po dwa i po trzy kluski; a ja to, chocem i po dwie i po trzy owce nosiuł, biere tylo po klusku; ja na to nie przystaje.

Kucharka to usłysała, idzie i mówi do pana:

— Prose pana, pewnie coś niedobrego sie stało z owcamy, bo ten głupi to tak a tak pejda.

Pan sie zerwał, posed do owcarni; owce wszystkie lezo na grumadzie, ani sie ruso. Dali un do tych braci. Uni sie tłumaco, ze nic nie winni, tylo ten głupak; ale pan nie chce ich wcale słuchać, tylo kaze ich zamknąć do kozy. A mniał ten pan ogrumne piwnice ciemne; wzion i wwaluł ich do ty piwnicy

i kazał zamknąć zielaznemy drwiami. W no-
cy te bracia mądre płaco i mówio:

— Wej, tera my za ciebie zyciem przy-
płaciem.

— Abo przypłaciem, abo i nie przypła-
ciem — pejda un głupi.

Ale jak sie podsadziul do tych drwi, wy-
walul je i mówi:

— Nu, chodźta, ucieknem tera.

Uni wyleźli z piwnicy i chco iść, a un
mówi:

— Zacekajta, ja wezne te drwi zielazne, to
num sie przydadzo.

— I, nie bierz, głupaku, bo nie zdązem
uciec i esce nas złapio.

Ale un sie naper i wzion i uciekli do lasa.
Tamój wleźli na drzewo i t. d.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

51. O DWÓCH BRACIACH, O JEDNEM BIDNEM, DRUGIEM BOGATEM.

Było dwóch braci: jeden buł bogaty, dru-
gi buł bidny. Bidnemu była bida i pozycuł
od bogatygo kawałka chleba. Ale bogaty
dał mu chleba, tylo powiedział:

— Będziesz mi za to robił te pół dnia, chtërne więkse, a chtërne więkse, musis sie o tem dowiedzić od słuńca.

Un biedny nie wi, chtërne pół dnia więkse; idzie do słuńca pytać się o to. Idzie, ale na drodze stoi gruska; una go sie pyta:

— Gdzie ty idzies?

— Ide sie do słuńca pytać, chtërne pół dnia więkse.

— To sie spytaj, przez co ja gruzek ni mum na sobie.

— Dobrze.

I posed dali, ale napotkał ogrumno wode, rzyke. Una rzyka go sie pyta:

— Gdzis ty idzies?

— Ide sie do słuńca pytać i t. d.

— To spytaj sie, przez co ja w sobie rybów ni mum.

Un idzie dali, idzie, idzie; przysed do taki chałupki mały; w chałupce siedzi babina matka starzuchna taka, a jy synem było słuńce. Ten chłop przysed do ni, a una, jak sie dowiedziała po co idzie, schowała go w wio-ry, zeby go jy syn nie nalaz. Przed zachodem dwa razy sie mygneło słuńce i zasło; przychodzi do izby i pyta sie:

— Matko, matko, tu zywe duse cuć?

— I gdzie tam, tu zywy dusy nima, skądzes unaby sie wziena w takie dalekie krainy

Układli sie spać; uno usneło to słuńce, matka go przebudziła i pyta go sie, przez co ta gruzka ni ma grusek.

— Przez to, ze duzo piniędzy pod nio jest.

Znowój usneli i śpio; ale matka przeckneła i pyta sie:

— Przez co ta woda ni ma rybów?

— A przez to una ni ma rybów w sobie, ze nikogój esce nie utopiła.

Znowu usneli; una przeckneła, obudziła syna i pyta sie go:

— Chtórne pół dnia więkse?

— Jednakowe, abo te pół dnia, abo te pół dnia.

Słuńce z rana obudziło sie i wesło; a ta babina rozpojedziła wsystko temu cłojekoju. Un jy ślicnie podziękował i posed. Przycho-dzi do ty wody; una pejda:

— Spytałeś sie, cłojeku, przez co we mnie rybów nima?

— Az me przepuścis, to ci dopirój powiem.

Rozstąpiła sie woda; un przesed sucho no-go. Przesed, odysed kawałek i dopirój po-wieda:

— Przez to w tobie rybów nima, ześ esce nikogój nie utopiła.

Una woda jak chlustnyła, ledwie go nie zalała. Ale un idzie dali, przesed do gruski; gruska go sie pyta:

— Nu, przez co ja grusek ni mum?

— Przez to ni mas gruzek, ze mas duzo piniędzy pod sobo.

— Nu, to przyńdzij, to wykopies je sobie; dopomozes i mnie, bo tera mnie juz chco stracić, ściać, za to, ze nic nie rodze.

Un chłop posed dali, przysed do brata i pejda:

— Oba pół dnia jednakowe, abo te, abo te.

Odrobiuł te pół dnia i posed do dumu do dzieci; wzion rydla, posed pod gruzke i wykopał piniędzy, bo una tak opuściła gałęzie na nigo, ze go nicht nie widział. Jak wykopał te piniędzy, zabrał je z sobo, ale chciał przemnirzać, ile ich ma. I posed pozycyć od brata ćwyrći. Un brat chciał sie dowiedzić, co un bedzie mnirzać i wzion i przylepiuł do dna kawał paku. Zacon mnirzać i przemnirzał, ale mu sie przylepiła jedna śtyrdziestówka. Jak odniós ćwyrć, bogaty nalaz une śtyrdziestówke, ale zdumniał sie i pejda:

— Skąd un tyła piniędzy nabrał, az ćwyrćcio je mnirzał. Trzebać i mnie iść pytać sie do słuńca, chtórne pół dnia więkse, mozeć i ja tyz zarobie troche piniędzy.

Posed, dochodzi do gruski, gruska pejda:

— Juz ja tera rodze gruski dobre, juz me nie zepsujo tera.

Przysed blisko do ty wody, woda rozstąpiła sie; un wlaż na dno, a una zara go zalała i od tygo casu mniała ryby.

(Opowiedział Franciszek Gniazdowski).

52. O JEDNY POKOJÓWCE I O ZIABIE.

Jedna pokojówka chodziła po pokojach i wysła do ni z nory taka ziaba parsywa; una pokojówka przeskokła przez nio i pejdziała:

— Uś, ziabko, bede ci w kumy.

Ziaba sie zara skryła, ale za pare dni, cy tam tygodni przychodzi do pokojówki i mówi:

— Bedzies mi tera w kumy.

Una pokojówka nie chce kumować; ale nie wi sama co robić: przyobiecała, a tera nie chce; wziena i posła poredzić sie do księdza. Ksiądz pejda:

— Nu, kiedyś obiecała trzymać, to musisl

Una przysła do dumu i zara posła z ziabo do wielkiego kamnienia, a pod kamnieniem była wielka nora i obie wlażły w te nore. W uny norze ziaba stała sie kobito, boć una nie była ziabo, tylo niewiasto w zaklęciu i ta pokojówka trzymała jy dzieciaka do chrztu. Po chrzcie ziaba pejda:

— Moja kumo, museć ja ci to wynadgro-
dzić, muse ci za to dobrze zapłacić.

Posła na góre i przyniesła w fartuchu
pliw i daje je pokojówce. Ale una pejda:

— Ola Boga! bede oto takie plewy bra-
ła—i wziena i wywaliła je na ziemnie, tylo
aby pare dostało sie jy za pasek.

Pozegnały sie i rozesyły sie. Wychodzi po-
kajówka z nory, patrzy, a tu za paskiem, za-
miast pliw, pieniądze. Zara zawróciła sie po
te plewy, ale choc nie wiem jak sukala, ni
mogła juz nijakim sposobem w te same
mniejsce trafić.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

53. O KOŚNIKU.

— A skądżeś ty?

— Z Łuni.

— A cego sukasz?

— Kuni.

— A cożeś ty za gospodarz, kiedy sukasz
kuni?

— Kiedy ja nie gospodarz, tylo kośnik.

— A gdziz masz kose?

— U d . . . nose.

— A prątki?

— U d . . . porządki.

— A babka?

— U d . . . jak capka.

— A młotek?

— Wygląda z portek.

— A skądżeś się taki mądrała wzion?

— Przyniesło me wrunie i posadziło
w dzwonnicy na dzwunie.

— Toś zleciał?

— Tom zleciał.

— Toś się stłuk?

— Tom się stłuk.

— To źle!

— Nie bardzo i źle, bom znalazł złotówki
dwie.

— To dobrze!

— Nie bardzo i dobrze, bo były złygo
bicia obie.

— To źle!

— Nie bardzo i źle, bom za nie kupiłem
grochu ówyciów dwie.

— To dobrze!

— Nie bardzo i dobrze, bo były spleśniałe
obie.

— To źle!

— Nie bardzo i źle, bom na niem upas
śwynie dwie.

— To dobrze!

— Nie bardzo i dobrze, bo mi je pan zajął do obory obie.

— To źle!

— Nie bardzo i źle, bom spał z panio noców dwie.

— To dobrze!

— Nie bardzo i dobrze, bo jak mnie pan zaskoczył, tom i portek zabaczył.

— To źle!

— Nie bardzo i źle, bo sie pani domyśliła i oknem mi je wyrzuciła.

— To dobrze!

— Nie bardzo i dobrze, bo jakim przełaził przez dyłowanie, stłukem sobie śćkianne jaje.

— To źle!

— Nie bardzo i źle, bo jak mi pani przysadziła byce, to bede mniał na całe zycie.

(Opowiedziane przez Antoniego Strusieńskiego i Stanisława Łuniewskiego).

54. O PSIE, CO BUŁ SIEWCEM.

Mniał jeden gospodarz psa takigo starygo i juz mu nie dawał żyć. Un pies tłuł sie ciągiem po wsi i po polach. Ale raz przechodził wilk i złapiuł unygo psa za kark. Pies krzycy:

— Siedz!

A wilk pejda:

— Cyś ty siewc?

— A siewc.

— Kiedyś siewc, to mi usyj buty.

Pies pejda:

— Kiedy ni mum skóry.

A wilk dopiro powieda:

— Cekaj, jak kunie wypusco kiedy do wody, to ja ci co najlepsygo kunia uduse, wyciągne za stodoły, ty z nigo skóre zdjynies i zrobis mi buty.

— Dobrze, to i zrobie.

Wilk posed, złapiuł kunia, wyciągnuł za stodoły i powieda do psa:

— Nu, tera mas skóre; a za ile tygodni tera mi zrobis buty?

Pies uwaza na ile tygodni bedzie mniał żryć tygo kunia i pejda:

— Dowidz sie za śtyry tygodnie.

I roześli sie oba. Pies kunia pozer i ni ma juz co jeść; ale przesło śtyry tygodnie, wilk przychodzi i pyta sie:

— Nu, usuleś buty?

— Ni, nie usulem, bom ni mniał sciecin.

— Cekaj no, jak wypusco śwynie, to ja ci co najlepsygo wieprza uduse i bedzies mniał scieciny.

Posed un wilk do wsi, udusiuł wieprza, wywluk znowu za stodoły i daje psu:

— Mas tera i scieciny; a kiedy bedo buty?

— Za śtyry tygodnie to juz bedo.

Przesły uny śtyry tygodnie; pies wieprza zjad, a wilk przychodzi po buty.

— Usuleś mi buty?

Pies pejda:

— Usulem.

— Nu, to pokaz je.

Pies wzion z tygo kunia kopyta; niesie i pejda:

— Na, buty, ale jakby cie gdzie gunili, to nigdzie nie uciekaj, tylo zara leć na lód, to jus cie tamój nie złapio.

Wilk pejda:

— To dobrze.

Poobuwał une kopyta i idzie na wieś, przechodzi prosto przez podwórze. Jak go ludzie obacyli, zara leco do nigo; obścąpili go i chcieli zabić; ale wilk nie wiele myślący buch na lód; uni za niem, a wilk co skoknie to sie obali; wzion une kopyta pozrzucał i uciek. Ale jak uciek, idzie do unygo psa; spotkał go i pejda:

— Toś ty taki mądry? pejdziałeś, zebym uciekał na lód, jak me bedo gunić; a mnie tam mało co nie zabili; ja ciebie tera zjem.

A pies go prosi:

— Mój kochany, lepi my między sobo wojne zrobiem.

— Zrobiem, to zrobiem; niech tak będzie.

I pošli oba zbirać dla siebie wojsko. Un wilk napad lisa i niedźwiedzia i wzion ich z sobo, a pies znowój napad kota i kobuta i suke z oparzunem bokiem. Ale wilk ze swoim wojskiem przysed wpirw do lasa; patrzy, a tu unygo psa nie widać jakoś; dopirój un gada do niedźwiedzia:

— Ty, bracie, umis po skrzecach łązić, to wliź na jaki, moze obacys, cy nie słychać gdzie psa.

Niedźwydź wlaz na skrzec i obacuł psa z igo kompanijo; jak go obacuł, tak powieda:

— O, ido ju, moi bracia; ale ja to juz nie zlize, bo sie ich boje: jeden tak suka, drugi tak krzycy: dawaj go tu!, a trzeciemu tak sie siabla u boku śwyci.

Un wilk ze strachu w nogi, a lis wder sie w mech. Pies przychodzi na un plac: nikogój nie słychać; ale kot obacuł lisa, jak go grabnie za ogun; un lis jak wrzaśnie, kot ze strachu wpad na ten skrzec; a niedźwydź myślał, ze ten kot leci po nigo, jak buchnie na ziemnie, az flaki z nigo wyleciały. I tak ten pies ze swoim wojskiem zwojował wilka, niedźwiedzia i lisa.

(Opowiedział Szczepan Sucheński).



55. O JEDNEM CHŁOPIE I NIEDŹWEDZIU.

Jeden chłop miał pare kuni, a oba były kare wałachy; zaprząg je do płuzycy i posed pod bór orać i orze. Ale przychodzi do niego niedźwydź, a un chłop woła:

— Wie, wie, moje wałachy!

A niedźwydź sie pyta:

— A dlacego uny wałachy?

— A, mówi, dla tego, ze so wymisune; bo póki były nie wymisune, to były ogiery, a tera, to so wałachy.

Ten niedźwydź pejda:

— Wymiś i ty mnie, to i ja bede wałachem.

— A dobrze,

Dopirój un niedźwydź układ sie, a chłop go wymisiuł. Późni niedźwydź wstał, podziękował mu i posed; ale to puzdro coraz gorzy go boli. Ale un niedźwydź nie wiela myślący przychodzi nazad do chłopca i mówi:

— Cekaj, chłopie, jutro to ja cie wymise.

— A dobrze, wymiś.

Doorał un chłop do wieczora, ale sie martwi wciąż i nie wi co robić. Ale przychodzi do chałupy taki zmartwiony, ze jaz strach na nigo patrzeć; az igo zuna sie pyta:

— Cegoś ty taki zmartwiony?

— Toć ty mnie nie poradzis.

— A moze i poradze.

— To ci i powiem; widzisz tak, że mnie ma jutro niedźwydź wymisić, jak póde pod bór orać.

A una mówi:

— To cekaj, daj ty mnie swoje ubranie, to ja póde orać, a ty zostaniesz w dumu.

— No, to i dobrze.

Jak dał Bóg dzień nazajutrz, una oblokła igo ubranie i idzie orać, a niedźwydź już czeka na polu na unygo chłopca. Jak przysła, zara niedźwydź pejda:

— Dobrze ześ przysed.

Una mówi:

— W imię Ojca i Syna, wie, moje wałachy.

— Ty nie wołaj: wie moje wałachy, tylko się kładź.

— To dobrze, to się układa — i wziena się i kładzie.

A niedźwydź nie wiedział, że to kobita; jak ją obejrzał, jaz od ni odskocuł i mówi:

— O niechże cie, to ty masz większe rane, jak ja; cóż tu z tobo robić?

Ale przypomina sobie, że zapomniał wziąć maści; ogląda się, a tu leci zając; dopiero złąpiuł tygo zająca i mówi:

— Ty tutaj usiądź i oganiaj tygo chłopa z muchów, a ja póde dla maści.

Zając został, a un poleciał i jak go nima tak nima. Az tu kobita ruchnęła sie, a zając jaz usy postawił; a jak kobita piar. . ., un zając w nogi; tak ucieka, jaz sie starba. Ale napotyka unygo niedźwedzia, a niedźwydź go łabas za kark:

— A ty gdzie uciekas?

A zając powieda:

— Oj, uciekaj, bracie, bo z armat do nas strzylajo.

Un niedźwydź jak to usłysy, jak oba sie zawróco, jak pójdo; pošli i juz więcy nie przyšli. A dopiro ta kobita wstała, otrząsneła sie i posła z temy swojemy wałachamy i takim prawem uwolniła swoigo chłopa.

(Opowiedział Stanisław Strusieński).

56. O TRZECH SIOSTRACH. *)

Jeden ogrodnik, co słuzył u króla, miał trzy córki i uny posły na spacer do króleskiego sadu i usiadły do antalki ¹⁾ i tak sobie mówiły. Najstarsa mówi:

*) Porów. tom I N. 23, str. 156 i N. 38, str. 238.

¹⁾ Altanki.

— Zeby mnie chciał za zune kucharz.

A druga mówi:

— A mnie zeby chciał lokaj.

A ta najmłodsza pejda:

— Ja, tobym wolala iść za samygo króla to i mnieby lepi było i wum wszystkigo bym udzilała.

A król chodził po sadzie i słytał co uny gadały. Zara wzion posłał po księza, lokaja i kucharza i ksiądz dał wszystkim trzem parom ślub. Ale te dwie starsze siostry zadrościły ty najmłodszy i mówiły sobie:

— My jo musiem zdradzić.

Jak król pojechał na wojne, dał mu Pan Bóg syna; ale jak sie urodził ten syn, to te siostry dwie wzieny go i wrzuciły w wode, a położyły psa i zara piso do króla: „Zamiast porodzić syna, zuna twoja porodziła psa.“ A król jem odpisał: „Niechaj bedzie do moigo przyjazdu.“ Ale ten dzieciak nie zginął, bo go złapiął ogrodnik, ociec tych trzech siostrów i chował u siebie. Jak król z wojny przyjechał, patrzy: prawda, igo zuna ma psa. Zara porozpisował listy do jennych królów, uni sie pozjydzali; un jem mówi:

— Moi panowie, osądźta, jak to zrobić, kiedy moja zuna porodziła psa zamiast syna.

Uni mówio:

— Niechaj tak bedzie do drugigo razu.

Wysed tak rok; król znowu pojechał na wojne, a igo zunie znów dał Pan Bóg córke; ale te siostry wzieny jo i puściły na wode, a położyły kota; ale i te dziwuche tyz złapiuł ogrodnik i chował. Te siostry piso znowu do króla: „Zamiast porodzić córke, twoja zuna porodziła kota.“ A król odpisał. „Niechaj tak bedzie do moigo przyjazdu.“ Przyizdza, prawda, je kot zamiast córki. Zara porozpisował listy, zeby sie pozjydzali jenne królowie. Jak sie pozjydzali, un jem mówi:

— Co z tem zrobić, moja zuna zamiast porodzić córke, to porodziła kota?

Tak uni mówio:

— Niechaj tak bedzie do trzecigo razu.

Król choc nie łaskaw na te swojo zune, ale jo prec trzyma. Wysed znowu rok, znowu króloju wypadło wyjechać gdziś na wojne, a jy znowu Pan Jezus dał syna. A te siostry znów zaciesaly kawał kija i położyły w kolibke, a te dziecko puściły na wode i tamój je złapiuł ten ogrodnik. A do króla obie te siostry piso: „Zamiast porodzić syna, twoja zuna porodziła kawał kija.“ Król jem odpisał: „Niech tak bedzie do moigo przyjazdu.“ Przyizdza, patrzy, wszystko prawda. Rozpisał listy, zeby sie zjydzali jenne królowie. Zjechali sie i osądziłi jo wsadzić do więzienia i głodno śmircio zamorzyć. Tak

tyz ten król i zrobiuł, wsadziuł jo do więzienia; tamój jy mało wiela dawali jeść i z głodu jakoś nie pomeřła. A ten ogrodnik jak sie zestarzał, te dzieciaki popodrastały; jak juz mniał umirać, zawołał do siebie i dał jednemu chłopcu zaskę, a temu drugiemu gracie. A ta dziwucha mówi:

— A mnie tatuś nic nie da?

A un mówi:

— Toć wy sie lubita, to i tak we troje bedzieta zyli.

Un umer, a uni pošli w śwat. Ale dowiedzieli sie o jednym drzewie, co sidem mil warcało i o wodzie, co sidem mil pachniała. Te chłopaki oba chco iść do tygo drzewa i ty wody, a dziwuche ostawiajo. Jak pošli, tak przyšli na tako góre, gdzie te drzewo stajało. A tam taki skiełk; obejrzeli sie i obydwu przepadli na wieki; a zeby sie byli nie oglądali, toby byli wzieni tygo drzewa. A ta ich siostra ceka ich, jak ich nima, tak nima; tak mówi sobie: „Póde i ja za niemy.“ Wziena ze sobo grzebień, nozycki i mydło i posła. Po drodze napotkała takigo starygo dziada. Un mówi:

— Gdzie ty idzies?

Una mówiła ten jenteres, ze idzie dla tygo drzewa, co sidem mil warcy i dla ty wody, co sidem mil pachnie.

— Ogól me i ostrzyz, to ja ci co poradze.
Wziena go ostrzygła, wycesała i wymyła.
Un jy podziękował i pejda:

— Jak pódzies na te góre, gdzie je te drzewo, to tamój bedzie stojała śwęcuna woda i kropidło i ptak w klatce; to weź i śwęc nokoło siebie; ale pamiętaj, nie oglądaj sie, to i drzewa dostanies i swoich braci, co tam przepadli i jennych ludzi wybawis i tygo ptaka z klatko weźnies. Una posła na te góre; idzie do kropidła, bierze i śwęci niem przed siebie i za siebie. Dosła do tygo drzewa, ułu mała gałązke z nigo, nacirzkneła ze stawu wody we flasecke i wziena klatke z tem ptakiem. A un mówi:

— Trzymaj me, k, a dobrze!

Jak toto wszystko wziena, tak wszyscy ludzie i jy bracia, co tamój przepadli, wstajo i dziękujo jy, ze ich wywabiła. Zara z braćmy posła do dumu swoigo; w sadzie posadzili gałązke z tygo drzewa, a do stawu wleli ty wody, co pachniała. Tote drzewo to jem tak rosło, jakby je chto za cubek pociągał, a woda w stawie odraz zapachniała. Ale raz oba te chłopaki siroty pošli na polowanie na króleskie pole. Król ich napotkał, spodobali sie mu i zabrał ich na obiad do siebie. Ale pyta sie ich:

— Co tu w tych stronach tak warcy i pachnie?

— A to—pejdajo—tak pachnie u nas woda w stawie, a warcy tak u nas drzewo w sadzie.

Pośli do dumu i powiedają siostrze:

— Myślelim, że król nas ukarze za to, że na igo polu polowali, a un nas wzion na obiad.

Ale una pejda:

— A wita, un tu tera do was przyjadzie na obiad.

Wzieni zara usykowali wszystko; napiekli, nasolili ogorków, a ten ptak jy powieđa:

— Nie daj tych ogorków, jaz na ostatku.

Jednygo dnia król do nich zaizdza; przyjmujgo i proso na obiad. Jak zjedli wszystko, una podaje ogórki. Król wzion jeden i rozłumał, a tu z nigo posypały się perły. A ten ptak powieđa:

— Co tak dumas, durniu, to so perły twoi zuny, a te trzy siroty, to so twoje dzieci; idź mi zara po te twojo zune do więzienia, bo juz wyschła, tylo jy cień został sie.

Król posed i przyprowadziuł jo do nich, a ten ptak pejda:

— Wej mniała twoja zuna takie siostry, co jak jy Pan Jezus dał dziecko, to uny wzieny i puściły na wode, a na igo mniejsce po-

łożyły kota, abo psa, abo kija kawał. Ale stary ogrodnik łapał te dzieci i chował.

Król sie uciesuł, wzion ich zabrał do siebie, a te siostry roztargać kazał zielaznemy brunamy. A z to swojo zuno, jak ich ten ptak złącuł, zyli esce trzy lata, az una umerła.

(Opowiedział Marcelli Gniazdowski).

57. O MŁYNARCYKU I O DJABLE.

U jednego młynarza na młynie prześka-
dzało w nocy i ten młynarz przez to ni mógł
trzymać młynarczyka, bo sie bojeli do tygo
młyna godzić. Ale raz zgodziuł sie jeden
młynarczyk i powieda młynarzowi:

— Juz ja to sie nie bede bojał.

A umniał on grać na skrzypcach. Jak sie
zgodziuł, wzion skrzypce i posed na młyn.
Mniele, a gra prec. Ale w nocy o dwunasty
godzinie przychodzi coś do drwi i štuka.
Młynarczyk gra, a pyta sie:

— Chto tam?

— Otwórz.

— Jak bede chciał.

To coś woła drugi raz:

— Otwórz.

A młynarczyk pejda:

— Jak bede chciał.

Ono woła trzeci raz:

— Otwórz, bo jak nie otworzys, to ja drwi wysadze.

Jak młynarczyk nie otworzył, ono wysadza drwi i idzie prosto do młynarczyka. Ale to, co strasyło, to był djaból. Młynarczyk, choć go się boi, nie pyta się, tylko gra na skrzypcach, coraz to piękni. Djabłowi spodobało się to i powie­da:

— Nauc ty mnie tak grać.

A młynarczyk powie­da:

— A to wis trzeba palce wpirw wyprawić.

— Eżli chces, to ja ci moge wyprawić je.

— Nu, to wypraw.

Ale był we młynie stolarski war­stat; wzion młynarczyk i wkręcił djabłu śrubo palce w war­stat. Djaból krzyczy: „Puść,“ a on jeszcze gorzy mu wkręca. Djaból jaz go prosi, żeby go puścił, ale on bierze lipowygo prowoza, dopiero jak go zacnie bić, bije, co tylko wlizie. Djaból prosi go na różne sposoby, żeby go puścił. Młynarczyk ulitował się nad niem i puścił go. Ale ten djaból, jak uciekał z młyna, powie­dział:

— Cekaj, ja ci nie daruje, tylko ty przyń­dzes do olsyny, to ja ci łeb uknęce.

Wysło tak juz potem z pare lat, młynar­cyk się ozenił, mniał dzieci i siedział na

swojem młynie. Ale raz posed ze swojo zuno na spacer do olsyny. Ledwie wešli do olsyny, wychodzi do nich djaból i pejda:

— A wej, mum cie! dostałeś sie w moje ręce! pamiętas, coś mnie w młynie robiuł, jakęś me ucuł grać; tera to ja ciebie nauce.

Tak ten młynarczyk nie wi sam co robić; ale wzion dopiro te kobite, postawiuł jo na głowie do góry nogamy i mówi:

— Chodź tu djable do warstatu!

Jak djaból przypomniał sobie warstat, jak drapnoł, tak więc w olsynie nie postał.

(Opowiedział Stanisław Luniewski).

58. O STAREM PSIE.

Jeden gospodarz mniał starygo psa, uchował sobie młodygo, a tygo starygo wzion i wygnał. Ale ten stary pies posed na wędrówke; idzie, idzie, ale wilk zastępuje mu droge i pyta go sie:

— Gdziz ty idzies?

— Oto tak—pejda un pies—panie Wilce-ski, ide jaki rady sukać; boć ja służułem u jednygo gospodarza, ale un uchował sobie młodygo psa, a mnie wzion i wygnał i tera ja ide na śwat.

Ale dopirój wilk powieda:

— To ja ci temu poradze.

Un pies pejda:

— Zeby tyz pan Wilceski poradziuł mnie bidnemu.

Dopirój ten wilk pejda:

— Wej tera we zniwa, to te gospodarze pódo ząć i wezno ze sobo małygo dzieciaka. Jak go połoze na zagunie, to i tygo młodygo psa przy niem zostawio. Ja wej wtedy przylece i porwe tygo dzieciaka, to ty leć zara za mno i guń me, to ja połoze dzieciaka, a sum uciekne.

Jak sie umówili, tak tyz i zrobili. Gospodarze pošli w pole z dzieciakiem i psem; sami pošli ząć, a dzieciaka ostawili na zagunie. Un wilk zara przyleciał po unygo dzieciaka. Jak go grabnie, jak pódzie do lasa, ten młody psiak zląk sie i uciek pomiędzy gospodarzy, a dopirój ten stary pies jak zacnie guńić wilka i krzycyc; wilk sie obróciuł i cisnuł dzieciaka. A ten gospodarz powieda dopirój do swojy zuny:

— Wej trzeba num starygo psa wziąć, dzieciaka num uratował, a tygo młodygo wygnać w śwat, boć to gałgaństwo do nicego.

Wzieni tyz zara unygo psa z sobo i chowali go do samy śmirci.

(Opowiedział Aleksander Kowalski).

59. O JEDNY PANNIE I JY KAWALIRZE.

W jednym mniejscu pokochali sie kawalir z panno; ale jak un dosed do lat, posed do wojska, a una go wciąż opłakiwała. W tem wojsku un umer, a una o tem nie wiedziała i prec płakiwała, ze un nie wraca do dumu. A ten cały jy płac posed jemu nie na pomoc, tylo na potępienie. Jak una wciąż tak płace, sprzykrzyło mu sie to w grobie, bo juz tygo płacu i lamentu było zanadto. Tak jedny nocy un wylaz z grobu, wsiad na kunia i przyjechał do ni do okna i powieda:

— Wstawaj!

Skoro una usłysała igo głos, zara go poznała, wstała i otworzyła mu. Un wsed do izby i pejda:

— Sykuj sie, wezne cie z sobo.

Usykowała sie, wziena bielizny troche w tłumoczek, wziena korunke, książke do nabożeństwa i śkaplirz. Wsiadła na kunia i jado przez wieś, ale psy do nich tak docirajo, docirajo, az una powieda:

— Nie wiem, co to sie znacy, ze te psy tak do nas docirajo?

A un powieda:

— Nie wis co? Uno wej umarły potrafi zywygo wiźć.

Una struchlała ze strachu i na to mu nie nie pejda. Jak juz dojechali do igo grobu, un zsiad z kunia, otworzył grób i pejda:

— Właż tam.

Una pejda:

— Ja tam nie wlize, ty pirw wliź.

Jak un wlaż, una w nigo cisneła tłumoc-kiem z bielizno, a książke, śkaplirz i korunke w ręke i w nogi. O ucieka, ucieka, a un za nio, a un za nio, kuniecznie chce jo dogunić. Una dolata do boru, a w tem boru stoi cha-łupka i śwyci sie w ni. Wpada una do cha-łupki, patrzy, a tamój lezy dwóch umerla-ków; zara jednemu włożyła korunke na nogi, drugiemu książke, a śkaplirze powiesiła na drwiach. Dopiro un przylata do okna i woła:

— Bracie kolego, co na łózku lezys, roz-
twórz mi.

A ten z łózka pejda:

— Ni moge, bo mum łańcuch na nogach.

Tak un znowu woła:

— Bracie kolego, co lezys na ziemni, roz-
twórz mi.

— Ni moge, bo mum zielazo na nogach.

Tak un krzycy:

— Przędziuno, coś we cwartek po kolacyi
umotane, roztwórz mi.

Ale una zerwała sie, złapiła siekiry i prze-
ciena te przedziuno. Sama zara wlażła na

piec i siedzi na niem. A ten potępieniec, jak kogut zapał i przepad gdzieś. Ta panna siedzi tak do dnia. Nazajutrz ludzie sie poschodzili do boru, zaglądato do chałupy i dziwio sie, ze na noc nie ostała sie zywa dusa, a w dzień je. Zdyjeni jo z pieca, ale una ni mogła słowa od strachu wymówić. Zara posłali do księza i tylo zdązyli go do ni domnieścić, wypowiedała sie, do trzeciego dnia dożyła i umerła.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

60. O SIWEM GOŁĄBKU.

U jednygo króla było cworo ludzi w rodzinie: ociec i matka i dzieci dwoje, syn i córka. Ale te dzieci strasnie sie lubieli; jak doróśli, tak ten brat chce się zenić z sistro. Pisali raz do Ojca Śwętygo, zeby jem Ociec Śwęty pozwoluł sie zenić; Ociec Śwęty nie pozwoluł. Pisali drugi raz i za drugo razo nie pozwoluł. Az jak napisali trzeci raz, dopiero jem za trzecio razo pozwoluł. Jak jem pozwoluł, tak uni sykować sie do wesela. Dali na zapowiedzie; zapowiedzie wysły, zaceni sie sykować do ślubu; una posła do jednygo pokoju, a un do drugigo. Un sie ubrał, wysed i stuka do jy pokoju i pyta sie:

— Siostró, juześ sie ubrała?

— Ni, podaj mi trzewiki.

Jak jy podał, una zara wpół kostki wpadła w ziemnie.

Un znowu jy sie pyta:

— Siostró, siostró, juześ sie ubrała?

— Ni, podaj mi puńcochy.

Jak jy podał puńcochy, una wpół kolana wpadła w ziemnie. Znów un jy sie pyta:

— Siostró, siostró, ubrałaś sie?

— Ni, podaj mi spódnice.

Jak jy podał spódnice, una wpół pas wpadła w ziemnie. Un znowu do ni:

— Siostró, siostró, ubrałaś sie?

— Ni, podaj mi kaftan.

Jak podał kaftan, una do syi wpadła do ziemni. Un leci esce raz do drwi:

— Siostró, siostró, cyś sie ubrała?

— Ni, podaj mi welun.

Jak jy podał welun, una całkiem wleciała w ziemnie, zara posła sukać zuny dla nigo taki samy, jak i una. Jak posła, zasła w taki daleki śwat—o jej; ale przysła do chałupy; patrzy: dziwcyna krosna robi, taka samiotka jak i una. Zara ta dziwcyna pyta sie jy:

— Gdziz tu panienska przysła? moja matka Jędza baba, to panienske zwykiem rozerwie, jak tu przyńdzie.

Una jo prosi, zeby jo schowała. A ta dziwcyzna gotowała groch i powieda:

— Niech sie panienka w ziarko grochu obróci.

I zara jo obróciła w ziarko grochu. Przyłata Jędza baba i woła:

— Córko, tu zywe duse cuć!

— I ni, mamó, skądby tu w taki daleki świat mogłaby do nas dusa przyńść.

Jędza baba juz nic nie mówi, tylo sie grochu nazerła i poleciała, a ta jy córka nazad jo obróciła w dziwcyzne. Tak una zara jy rozpowieda cały jenteres, po co przysła i daligo jy prosić, zeby sie ubrała i posła z nio za zune do jy brata. Una sie zgodziła, ubrała sie, wziena grzebień ze sobo, scotke i jajko i obie ido w droge. Dopiro wysły; usły kawalek drogi, oglądajo sie, Jędza baba guni ich. Co uny robić? Juz ta Jędza baba blisko nich; cisnęły scotke i zrobił sie za niemy taki las ogrumny, gęsty. Jędza baba dolata do lasa, ni moze przeńść, wróciła się do dumu po topór. Jak przyleciała nazad, jak zacnie toporem w tem lesie droge ciąć, wyciena droge. Kładzie topór pod drzewo i chce lecić. A ptasek śpiwa:

— Ty połozys, a ja wezne.

— Co ty mas moje dobre brać! wróciła sie i zanięła topór do dumu.

Ale leci za niemy nazad. Guni ich, juz ich dogunia; uny cisnęły grzebień i stała sie taka ogrumna woda—o jej; potem zara cisnęły jajko i zrobił sie na ty wodzie lód ślizgi. Una Jędza baba, co wlizie na lód, to sie obali. Jak sie raz obaliła, rozciena sobie łeb i zabiła sie i tylo sie z ni smoła rozlała. A uny juz sie jy nie bojo, juz ido śniało dali. Przysły do pałaców tych królów, jy ojca i brata, a uni zasieli przed pałacem proso. Zara uny zrobiły sie gołąbkamy siwiuchnemy, wlażyły w te proso i daligo tłuc je. Królewic to obacuł i wysłał pokojówke:

— Idź, spędź te gołębie, niech mi prosa nie tłuco.

Una wysła i woła:

— Śsia, gołąbki, śsia z króleskigo prosa.

A une pejdajo:

— Abo śsia, abo i nie śsia, bo ja jestem króla siostra, pošlam w jenne struny sukać bratu zuny, taki jak i samam.

Una pokojówka pošła i powieda to królewicowi. Un jy nie wirza i pošła wiernygo lokaja. Un lokaj woła:

— Śsia, gołąbki, śsia z króleskigo prosa.

A uny:

— Abo śsia, abo i nie śsia i t. d.

Un posed i tak samo pejda królewicowi Królewic wzion i sam wysed i pejda:

— Śsia, gołąbki, i t. d.

Uny mu tyz pejdajo:

— Abo śsia, abo i nie śsia i t. d.

Tak un mówi:

— Zróbcie sie osobamy.

Uny sie zrobiły do nigo, ale go zadna nie wita, zeby nie poznał, którana siostra, a którana ma być zuno. Co un robić, martwi sie, ze ni moze ich rozeznać. Ale lokaj pejda mu:

— Niech pan zabije wołu, kiske krwio nadzieje i opase sie nio i niech weźnie i wbije w siebie naprzeciw ty kiski nóz, to którana siostra, to upadnie do głów, a którana zuna to do nóg.

Królewic tak zrobiuł, stanół naprzeciw nich i mówi:

— Którna moja siostra, a którąna zuna, niech powi i przyzna sie, bo sie przebije.

Uny nie chco sie przyznać. A un jak sie zdychnie w pirsu, zara sie obaluł. Siostra dopirój upadła mu do głów, a ta zuna do nóg. Un zara poznał je, wstał i wyprawił swoje wesiele. Ja tamój na tem wesielu byłam, piwo piłam i t. d.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

61. O JEDNEM PANIE, CO Z BIDNEMY
OBIADY JAD.

Jeden pan to nigdy obiadu nie zjad sam, tylko zawse bidnego zaprasał. Ale jednego razu ten pan posed pod figure i modłuł sie, zeby Pan Jezus przysed do nigo na obiad. I Pan Jezus przysłał kartke przez amiola, ze przyńdzie. Amiół przysed i powiedział, ze Pan Jezus przyńdzie tego a tego dnia i przypiluł, aby tylo był dobry obiad. On pan taki kument, ze Pan Jezus przyńdzie do nigo na obiad, porozsyłał listy po wszystkich guberniach, ze jakie tylko moze być mięso, zeby jemu poprzysyłałi. I on usykował obiad na ten dzień, co mu amiół powiedział, ale Pan Jezus nie przysed, bo za bardzo bogaty był ten obiad. Ale ten pan tak sie zdumiał, ze Pan Jezus powiedział, ze przyńdzie, a nie przysed; wzion i znowu posed pod figure i modli sie. Amiół znów przysed do niego i powieda:

— Pan Jezus dla tego nie przysed na obiad ze obiad był za bogaty; ale zebyś ty usykował grochu, kapusty i kartofli, to Pan Jezus przyńdzie.

On pan posed do dumu i usykował, co mu amiół rozkazał i to razo Pan Jezus przysed do nigo. Jak zjad obiad, tak powieda:

— Ja do ciebie przysed, to i ty do mnie musis przyńść.

A ten pan mówi:

— Jakze ja zajde tak daleko?

A Pan Jezus powieda:

— To ja po ciebie przyśle kunika siwego.

Nazajutrz przychodzi on kuń i powieda:

— No, siadaj na mnie, to pojedziem.

A to ten kuń, to był Święty Piotr. Jak ten pan wsiad na niego, tak pojechali; jado, jado, ale temu panu zdaje sie daleko. Ale jak zaceni jechać, przyizdzajo do jednego mniejsca, a tamój jedna kobita przeliwa wodę z jedny studni do drugi i nic jy nie ubywa. Jado dali, a tam spotkali jednygo pana, co mniał dwanaście pokojów i sam jeden był w nich, latał po nich i wołał:

— Ciasno mi.

Jado dali, znów tam dwie dziewczyny dwoma jabkami ciskajo: jak jedna cisnęła do drugi swoje, to i ta druga ciska do ni swoje i dla tego jedna nigdy ni mniała obóch jabłek, tylko zawse każda po jednemu. Znów jado dali, tam znowu jeden chłop niós kawał zielaza i wołał:

— Ciężko mi.

Ale przyjechali do samygo Pana Jezusa. Jak przyjechali, tak Pan Jezus sie pyta, cy cego nie widzieli? A on pan powieda:

— Widzielim, jak jedna kobita przeliwała wodę z jednej studni do drugiej, a ni mogła przelać; a dali jakim jechali, to widzielim pana, co mniał dwanaście pokojów, a sum jeden buł w nich a wołał: ciasno mi!

— To wej — powieđa Pan Jezus — ta kobita, co przeliwała wodę, to wej kacmar-ka; jak senkowała, to nigdy nie doliwała piwa i wódki, a teraz po śmirci na te pamiątke tak przeliwa wodę. A on pan, co wołał ciasno mi, to wej był gospodarz, mniał strasny folwark, a jesce bidnem mniedze podorywał; to za to tak jemu tera po śmirci w tych pokojach ciasno. A cy jesce czego nie widzielišta?

On pan powieđa:

— Widziałem, jak dwie dziewczyny mniały dwa jabka i ciskały niemy do siebie, a zadna nigdy ni mniała obydwóch.

A pan Jezus mówi:

— To wej tak uny obie za żywota zawse sie wadziły o jednego chłopaka i obie umarły i on chłopak zadny sie nie dostał; to wej, za to one tak temy jabkami ciskajo tera. A cy jesce czego nie widzielišta?

A on powieđa:

— Jescem widział, jak chłop niós kawał zielaza, a wołał: ciężko mi!

A Pan Jezus powieđa:

— To wej było dwóch braci, jeden bidny, a drugi bogaty i ten bidny ni mniał sie ce-go jać, bo tylo mniał kawał drewna; a ten bogaty przysed w nocy i porwał mu i te drewno. I on za to pokutuje.

Dopiro Pan Jezus powieda:

— A ty tera idź, choceś scęśliwy, na tamten śwat umnirać. A na ten przykład, jak ty uwazas, ila ty lat tu jesteś?

On mówi:

— Ja myśle, ze ja tu dopiro od wcoraj.

A Pan Jezus powieda:

— Ty tu jesteś juz sto lat.

I on zabrał sie i posed na ten śwat; przychodzi do swoi rodziny, a śmirć zara przychodzi do niego i powieda:

— Dobrze, tera mum cie, bo ja juzem chodziła za tobo sto lat, jazem cie nalazła, az nogim pokalicyła. Ale tera mum cie, sy-kuj głowe, bo ci jo zetne.

I tako śmircio on pan zginok; dobry po-grzyb mu wyprawili, a potem dostał sie do nieba.

(Opowiedział Aleksander Kowalski).

62. O CYRWUNYCH BUTACH

Jeden pan nasiał prosa i strasznie mu nie powschodziło, więc mówi:

— O niech je djaból weźnie i proso!

I djaból je wzion. Ale potem te proso sie poprawiło i było bardzo ładne i temu panu zal było tego prosa; chodzi prec zmartwiony, ale napotyka babe; ona baba pyta go sie:

— Cóz panu jest, co taki pan zmartwiony.

Więc pan jej odpowiada:

— To widzicie tegom zmartwiony, bom nasiał prosa i źle mi powschodziło i ja powiedziałem: niech je djaból weźnie i djaból je wzion; a tera proso piekne i cas je zacząć, a djaból powiada: ja ci nie dam tego prosa, boś ty mnie je kazał wziąć.

A ta baba mówi tak:

— Ja panu poradze, ale niech pan mnie da dziesięć rubli i niech mnie pan kupi cyrwone buty i cyrwuny kaftan. Niech tyz pan najmie tyle ludzi, zeby o dzień pozeni te proso i tyła furmanek, zeby o dzień zwieźli wszystko.

Ten pan tak sie przysposobił, jak baba powiedziała: ponajmował duzo ludzi i furmanek, a babie kupił cyrwone buty i kaftan. Te ludzie zaśli do prosa, jedni od jedny stro-

ny, drudzy od drugi i zno, furmanki zwozo; a baba zdjena się do naga, tylko obuła buty i włożyła kaftan, łeb rozcochrała i chodzi po granicy na śtyrakach. Jak jo djaból obacuł, poleciał do ni i łązi i mówi:

— Co to jest? Tu łeb i tu łeb, cyrwuny kaftan, cyrwune buty, kosmek u d...!

I tak chodził za nio cały dzień, a pan proso zebrał.

(Napisał Stanisław Lunieński).

63. O ŚMIRCI I O CHŁOPIE.

Jednygo razu śmirć sukala jednygo pana sidem lat, a nijakiem sposobem ni mogła go naliźć. Ale spotkała z ty wsi chłopa i poprosiła go, zeby jo wzion na wóz; un jo zabrał i jado. W drodze una jemu rozpowieda o tem, ze una je śmirć, ze chce igo pana zgładzić z tygo śwata, ale ni moze go naliźć i obiecała mu, ze jak un jo doprowadzi do tygo pana, to stanie sie za to doctorem, bedzie licuł ludzi i zbirał z tego duze piniędze. Chłop obiecał jo doprowadzić do tygo pana, a una mu za to pejda:

— Jak przyńdzies do chorygo, to mnie zawdy tamój u niego obacys. Jak ja bede

w głowach, to nie lic tygo człowieka, bo un juz musi umrzyć; a jak ja bede w nogach, to mozes go licyć. Za likarstwo zrób sobie wody z jakich kwiatków. Jak jo bedzies mniał, to rób zawdy tak: nanoś wody w drybus, porąbaj chorygo człowieka na kawałki i wymyj je w ty wodzie. Późni zestaw te kawałki i posmaruj je wodo z kwiatków, to kazdy człowiek bedzie zdrów, jakby mu nigdy nic nie było.

Ale jak dojechali do ty wsi, chłop jy pokazal, gdzie sie ten pan schował; una śmirć zsiadła, a chłop pojechał do dumu. Po jakimś casie słysy ten chłop, ze w jednym mniejscu choruje panna i nikt jy na zaden sposób ni moze wylicyć. Tak un daje znać, ze jo wylicy. Przysłali zara po nigo i zabrali go. Przyizdza: śmirć stoi w nogach; kazał zara wody nanosić, zamknoł sie z to choro w pokoju, porąbał jo na kawałki, wymuł je, zložuł i posmarował uno wodo. Una panna podniosła sie i pejda:

— Dopirójem sie wyspała!

Un jy kazał chodźić i zawołał ojców. Uni so z tygo rade, co jo ozdrowiuł i pytajo sie go, co mu dać. Un pejda:

— Co łaska.

Dali mu piędziesiąt tysięcy. Un je zabrał i odjechał. Ale zara zgłasają sie do nigo

jenni panoje. U jednygo była zuna dwa lata chora i un obiecał dać temu, co jo wylicy, jeden majątek. Przywieźli chłopą; un idzie do chory: śmirć w nogach; zabira sie jo licyć. A lokaj u tych państwa ciekawy buł, jak un jo bedzie licuł i patrzył na niego przez dziurke od kluca. Un chłop wzion jo pocion na kawałki i wylicuł. Lokaj zara do siebie mówi:

— Toś ty taki dochtór, tera to i ja tyz tak potrafiel!

I zara sie zacon rozgłasać un lokaj, ze i un moze tyz kozdo chorobe wylicyć. Ale w jednem mniejscu zachorował jeden pan i wzieni tygo lokaja. Un go pocion na kawałki; krew sie z nich leje; pokład je w balije, une nie chco sie zrastać; un nie wi sum co robić, wzion sie i powiesiuł. A ten chłop prec licuł dorobiuł sie pieknygo grosa.

(Opowiedziała Juljanna Gortatka).

64. O MAŁDREM MAĆKU.

Buł sobie Maciek i jak un sie ozenił, narabiał duzo piniędzy. Ale powieda do swoi zuny:

— Wis ty co, my mummy piniędzy, to postawiem sobie dwór, namówiem sobie lokaja

i pokojówke i bedziem sobie zyli jak ten nas pan.

Wzieni i postawili sobie dwór, namówili lokaja i pokojówke i państwowali sobie. Ale niedługo wysły jem wsystkie pieniądze, tak un Maciek mówi do swoi zuny:

— Wej tera to ni mummy juz z cego żyć, ale ja póde do lasa i narzne chrustu i narobie mietłów; ciebie ludzie nie znajo, to pódziesz z niemy do mniasta, poprzedajes je i bedziem nazad państwo prowadzić.

Posed un do lasa, wlasz na brzózke i łumnie chrustu; ale pod te brzózke przysed drugi chłop i kopie wondół. A ten Macij, jak go obacuł, nic nie gada, tylo siedzi na brzózce i ceka, co z tego dali bedzie. Un chłop, jak wykopał wondół, posed do wsi; jak przyniesie worek pieniędzy, jak wwali w wondół; jak pódzie po drugi, jak i igo przyniesie i wwali; zawaluł je oba ziemnio, odysed kawałek drogi i krzycy:

— Rekita! pilnuj mi tych pieniędzy!

A un Macij z brzózki woła:

— Niechaj ten pilnuje, co nad niemy je!

A ten chłop duma sobie i pomyśla:

— A to un Rekita mówi, zeby ich Pan Bóg pilnował—wzion i posed do dumu.

A ten Maciek zlasz z brzózki, odwalił wondola, pieniądze wybrał, powoził do dumu

i znowu z zuno prowadzo państwo: nakupili sobie mięsa, chleba, kawy, herbaty; jedzo i pijo i o nicem nie myślo. Jak sie pan o tem dowiedział, woła go bez okumuna:

— Niechaj Macij idzie do pana.

A Maciej mówi:

— Taka mnie droga do pana, jak i panu do mnie.

Okumon posed do pana i mówi:

— Macij powiedział: taka mnie droga do pana, jak i panu do mnie.

Pan zara kazał zaprządz kunie i pojechał do Maćka. Ale go sie pyta:

— Cy ty sam z siebie zostałeś panem, cy ci chto dopomóg?

A ten Macij mówi:

— Sum z siebie.

Pan mu za to esce do tygo dodał jeden ma-
jątek i takim sposobem Macij został panem.

(Opowiedział Marceci Gniazdowski).

65. O MĘZU, CO NA ZUNE GADAŁ.

Buł sobie mąż i un na zune ciągle gadał, ze z ni zadny wyręki ni ma, bo una w chałupie nima zadny roboty, a zawdy w dumu siedzi. Uny kobiecie naprzykrzyło sie te gadanie i pejda jednoraz do nigo:

— Kiedy ja w chałupie nic nie robie, to ty zostuń w chałupie i zrób wszystko za mnie, a ja za ciebie póde w pole. Ale zebyś i mąke na zarnach zemłuł i umniał doprzycynić chlib i kure z kurcakamy pilnował i pas i masło zrobiuł.

Un powieda:

— Dobrze, no to idź; ale mówi sum do siebie: To ja to bez godzinie wszystko zrobie, a późni bede odpocywał.

Zacon najpirw mlić, ale uwiązał kyrzanke u paska, bo chciał razem zemlić mąke i masło zrobić. Ale mniele prec i masło robi; ale przyleciała wruna, kurcaki tłuce, az w izbie słychać. Dali un do kurcaków lecić; cisnoł kij od zarnów i leci, a tu śnietane wylał, bo mniał przywiązany krążek u paska, a jak sie rusuł, to sie kyrzanka przekręciła i śnietana sie wylała. Un do uny kury, a wruna juz tylo pare kurcaków zostawiła. Ale un duma, co z to rešto robić, cy mu sie opłaci pilnować kilkorga; wzion rešte potłuk i zabrał sie przycyniać do unygo chleba. Ale tu go muchy tno; gdzie go chtóra mucha zatnie, to un chłop ciastem w nio; cały sie schlapał tem ciastem, a jak gdzie obacy muche na ścianie, to bach w nio ciastem na ścianie. Dość na tem, ze wszystko ciasto wyciskał za unemy

muchamy, bo go tak cieny. Ale dopiro mówi sobie:

— Co robić, zeby me muchy nie cieny?

Wzion i zesmarował sie smoło, a jemu esce gorzy; ale z tygo wszystkigo sum nie wi co robić; leci na pole do uny swoi zuny. A ta igo zuna myślała, ze to djaból leci i w nogi do chałupy, a tu taki nieporządek: śnietana wylana, kurcaki pozabijane, chlib z dzizy po ścianach porozchlapywany, o obiedzie ani słychu. Ale za nio wlata i un jy chłop do chałupy i pejda:

— Nie bój sie me, moja zuno, to ja sie takem smoło wysmarował, bom ni móg sobie rady dać z muchamy. Ale niech je tam! juz ja nigdy nie bede zostawał w chałupie i teraz tobie, zuno, bede wierzał, ze i w chałupie je robota.

(Opowiedział Szczepan Sucheński).

66. O LENIWY KOBICIE.

Byli sobie mąż i zuna i ta zuna była leniwa, wcale jy nie chciało sie robić. Ale raz pošli ząć; un znie, a una sie układła w brózdzie i śpi. Un wzion jy i umacał łeb w smole, potem upaciał w pirezach i posed ząć. Una

sie budzi, wstaje, rozgląda sie, ni moze sie poznać; ale idzie do swoigo chłopa i powieda:

— Cechnal cy ja Cechnowa zuna, cy ni?

Un pejda:

— Ni.

Wziena i uciekła od nigo w śwat; w drodze napotkała złodziei. Uni jo obstępili i pytajo sie:

— Gdziz ty idzies?

— Nu, tam gdzie i panoje.

— My idziem kraść.

— Nu, to i ja póde.

Pošli razem kraść; wleźli do jednego gospodarza na dach, wyderli dach, wsadzili jo na góre i powiedajo:

— Co napotkas, to bierz.

Una wlaźła i mówi:

— Napotkałam kosiule, bede brać!

— Cicho, nie mów nic, tylo bierz.

— Napotkałam słunine, bede brać!

— Bierz, a nie mów nic.

— Napotkałam orzechy, bede brać!

— Cichoj, bierz, a nie mów nic.

— Napotkałam popiół, bede brać!

— Cichoj, cichoj, nie bierz popiołu.

Jak juz jem wszystko wydała, uni zabrali wszystko, a jo zostawili i uciekli. Una zlaźła; noc, do dumu ni moze trafić; posła do

dzwunnicy i siedzi. Nad ranem przysed zakrystyjan dzwunić, obacuł jo i uciek, bo go taki strach przejon. Posed do księdza i rozpowieda mu, ze ciort je w dzwunnicy; a ksiądz buł chory; dopiro ten ksiądz pejda:

— O la Boga, jakze ja póde, takim chory; chyba me we dwóch na krzeselku zaniesieta.

Wzieni go zakrystyjan z organisto i nieso. Otwarzajo do dzwunnicy, a una kobita krzycy:

— Cy tłusty, cy chudy, dawajta go tu do budy.

Un ksiądz zląk sie; bryz z unego krzeselka, zapomniał o chorobie i uciek. A jak Pan Bóg dał dzień, una posła do dumu i odechciało sie jy lenić.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

67. O JEDNEM DZIADZIE.

Jeden dziad mniał dość piniędzy, jaz dzie sięć tysięcy i nosił je w torbie ze sobo. Ale raz zased na noc do karcmy i zacon tamój pić i fondować. A tamój w karcmie była taka dziwka; una wiedziała, ze ten dziad ma piniędze; i u kacmarza było w karcmie dwóch ludzi i te dwa tyz ze struny patrzy na dziada i igo piniędze i znowu na nigo zamyślajo

sie. Jak dziad zacon esce pić, tak te dwa przysuwajo sie do nigo i towarzyso mu. Ale dziad pyta sie jednygo:

— Słuchaj, bracisku, jak ci na imnie?

A ten pejda:

— S... mi sie chce.

— A, tobie, bracisku? — pyta sie dziad drugigo.

— A mnie: Zes..... sie.

Jak un dziad podpiuł sobie, położył sie spać, a torbe podłożył pod głowe. A te dwa namówili sie z to dziwko, zeby sie koło nigo kręciła i wziena mu torbe z piniędzmy. Uni tyz zara układli sie i catujo na torbe, a dziwka położyła sie przy dziadzie i przytula sie do nigo; a dziad po pijanemu chamrze tamój kole ni; ale cuje, ze ta dziwka zabira sie do torby; przypomniał sobie, ze te dwa nocujo i woła na jednygo:

— S... mi sie chce! S... mi sie chce!

Un nie odcyka, a kacmarz, jak usłysał, to pejda:

— Dziadzie, kiedy ci sie s... chce, to idź na dwór.

Ale dziad nie pyta, tylo woła:

— S... mi sie chce!

Kacmarz znowu woła:

— Dziadzie, cy chces, zebym z kijem wstał do ciebie?

Ale un dziad cuje, ze dziwka wyciąga torbe, a kacmarz idzie z kijem; tak woła na tego drugigo:

— Bracie, Zes sie, ratuj me!

Kacmarz jak to usłyszał, jak grabnie kija, jak zacnie dziada bębnić:

— Toś ty sie, dziadzie, tu zes . . . , dum ja ci, dum!

Bębni go prec; dziad sie zerwał, pieniądze z torbo zostawił i uciek z karcmy. A te dwa i kacmarz grabneli pieniądze i podzielili sie niemy z to dziwko.

(Opowiedziała Juljanna Gortatka).

68. O TOWARNEM SUBJEKCIE.

Jeden bidny cłojek wzion sie i zgodził do bogatygo kupca do jennego mniasta za subjekta, a swojo zune z dziećmy zostawił. Buł un u tygo kupca na wysługe i ucuł sie kupiectwa i tak słuzył bez trzy lata. Po trzech latach ten kupiec dał mu tyła towarów, co tylo un chciał, pare kuni i bryke i ten subjekt mniał odjechać do swoi zuny. Ale w tem casie do tygo kupca przyjechał jenny kupiec i jak sie pomnieniali na towary, mniał un kupiec jechać w jedne strune z tem subjektem.

A ten kupiec, co u nigo ten subjekt służył, zawołał igo do siebie i powieða:

— Jak ujadzieta dziś na noc i bedzieta mnieli nocować w karcmie, to ty tamój popaś tylo, a nie nocuj, bo tamój je kacmarz stary a kacmarka młoda; a jak przyjadzies do dumu, to pamiętaj, zebyś bez trzy dni zadny złości nie okazał.

I ten subjekt z tem drugim kupcem pojechali w droge. Na wiecór doizdzajo do karcmy; tak ten kupiec powieða:

— My tu bedziem nocować.

A ten subjekt powieða:

— No, to sobie nocuj, a ja nie bede nocował.

Kupiec ostał sie, a un subjekt odjechał troche dali na wieś i tam nocuje. Ale mówi sobie:

— Co to sie znacy, ze ten mój kupiec nie kazał mi w ty karcmie nocować, a ten drugi zaprasał.

Ni móg sie uspokoić; wzion zostawił towar, a sum wrócił sie do karcmy pilnować, co z tem kupcem bedzie. A kacmarz spał razem z kupcem we wjaździe, a kacmarka mniała leśnika kochanka i un do ni przychodził. I ty nocy przysed un leśnik i umówili sie z kacmarko, ze tygo kacmarza zarzno. A un subjekt sływał to wszystko i pilnuje

prec unygo kupca. Tak un leśnik z kacmar-ko wzieni sie i zabili unygo kacmarza; un subjekt przysunął sie do leśnika i urznoł mu kawał poły. Późni posed do swoigo towaru. Nazajutrz wstał i idzie do tygo kupca; odjydzacby w droge zdało sie; a kacmarka, jak ich obacyła, krzycy:

— Kupiec mi męża zabiuł, nie puscajta go!

Zara sie we wsi wrzawa zrobiła; zlecieli sie ludzie, obtocyli kupca i zara go chco zabirać. A ten subjekt dosłychuje sie tygo, co uni gadajo te ludzie; dopirój przychodzi do nich i opowieda jem:

— Widzita, to sama kacmarka z leśnikiem zabiła kacmarza, a kupiec tu nic nie winien; eźli nie wirzata, to przyprowadźta leśnika.

Leśnika przyprowadzili; un subjekt wyjon kawał poły i dopasowuje leśnikowi do sukmanka. Zara mu uwierzali, zabrali leśnika a kupca puścili. Jak go wyzwolili, tak znowuz jado dali we dwóch; ale majo jechać bez granice; ten subjekt pejda:

— Ja, to pojade bez granice na kumore.

A kupiec mówi:

— A ja, to pojade struno, to nic nie zapłace; i rozjechali sie.

Subjekt dojechał na kumore, opłaciuł za siebie i za tygo, co pojechał struno i jadzie

dali. A tygo kupca tam na strunie złapili i prowadzo go nazad na kumore. Doprowadzili go na kumore; na kumorze za igo towary opłacune. Un kupiec zara sie domyślół, ze to ten subjekt za nigo zapłacił; ale jak sie znowu zjechali, tak un pejda do nigo:

— No, kiedyś ty, bracie, od tyła niescęć me wybawił, to ja ci oddaje połowe moigo towaru.

Un wzion, pozegnali sie i rozjechali kozdy w swojo strune. Ale ten subjekt przyizdza do swoi zuny kochany; una go nie poznała, bo pojechał bidny, a przyjechał bogaty. Prosi sie do ni na noc, una go przyjena. Dopirój un pejda:

— Toć mi pani choc do rozgrzywku co da.

Una mu dała kubek mlika i glunek chleba. Un na tem mniał dosić i posed spać. Przychodzi za pół godziny do ty kobity ksiądz; uni siadajo oboje razem po bok i jedzo kolacyje, po kolacyi una pocałowała księdza w głowe, ksiądz jo w rękę i ido spać kozde na swoje łozko. I tak bez trzy dni było; a ten subjekt patrzył na to cirzpliwie. Ale po trzeci kolacyi juz ni moze ścirzpić, wyjma dubeltówke i chce strzylać do księdza. Ale przypomniał sobie, ze kupiec nie kazał mu okazować złości bez trzy dni i stanół.

Na czwarty dzień wstaje i idzie do ty kobity i pejda:

— Moja pani, co to sie znacy, ze pani ze mno kolacyi nie chce jeść, a z takim sielmo popem to zawdy jada?

A una pejda:

— Mój przyjacielu, to je mój syn, to ja z niem co robić chce to moge, a z tobo to ni moge, bo ja ciebie nie znum.

Dopiróz un subjekt zmięk i pejda:

— Kiedyć ten ksiądz twój syn, toś ty moja zuna.

Dopiro una go poznała; Bogu podziękowali za szczęście i dobrze jem było.

(Opowiedział Piotr Połomski).

69. O MATCE BOSCE I JEDNY DZIWUSE.

Jedne rodzice mnieli dość dzieci i juz jem nicht w ty wsi nie chciał trzymać do chrztu. Ale jak sie jem esce urodziła córka, wzion ten ociec te dziecko i posed na drugo wieś; idzie i powieda sobie:

— Póde na drugo wieś, to moze tamój kogo uprose, to moze mi bedzie chciał trzymać do chrztu.

Ale naprzeciw niego ido drogo taki dziadek i babka po prosunem chlebie i pytajo sie igo:

— Gdziz ty te dziecko niesies?

Un pejda:

— Mój dziadku i moja babko, ide znalizć sobie chrzesnych, zeby mi te dziecko do chrztu trzymali.

A ta babka pejda:

— Mybym ci trzymali oboje, ale zebyś num dał je za swoje nawcale.

Un powieda:

— Dobrze, mój dziadku i moja babko, ale zeby uno u was krzywdy ni mniało, jeźli je Pan Bóg bedzie chował.

Pośli do kościoła i dali jy na imie Helena. I te chrzesne oboje, a to byli Pan Jezus i Matka Boska, zabrali jo ze sobo i chowali jo do dwunastu lat. Jak juz una mniała rozumu cokolwiek, to Matka Boska dała jy kluce i pozwoliła jy do jedenastu pokojów roztwirać, a do dwunastygo przykazała jy nie wchodź i opróca tygo dała jy Matka Boska do zabawki złote jabko. Una dziwucha zawse roztwirała to tych pokojów, a do dwunastygo nie śniała; ale raz jo wziena chęćka, zeby sie dowiedzić, co tam je w dwunastem pokoju. Jak roztworzyła, patrzy, a tamój je pełno krwi; zara ze strachu upuściła w krew te

złote jabko. Potem zara podniosła je i uciekła, ale choc ocirała prec te jabko, prec krew na nie występuje. Wysła z tych pokojów i płace; ale przychodzi do ni Matka Boska i pyta sie jy:

— Cego płaces, Helenka?

A una nie śniała powiedzić prawdy, bo wiedziała, ze źle zrobiła, ze otworzyła do tygo pokoju.

A una pejda:

— Pewnieś otwirała do tygo pokoju?

— Ni, Mateńko Boza, nie otwarzałam.

— Powidz prawdę, bo ci bedzie bida!

Una sie esce nie przyznała. Wziena jo Matka Boska i zaprowadziła na strasne wodę, a na ty wodzie buł kamnień i Matka Boska zostawiła jo na tem kamnieniu, a sama znikła. Una siedzi na kamnieniu a płace, płace. Matka Boska znów jy sie okazuje i mówi:

— Helenka, przyznaj sie, otwirałaś do tygo pokoju.

— Ni, Mateńko Boza i t. d.

— Bo ci esce gorsa bida bedzie.

Matka Boska zaniesła jo w cyrznie takie strasne, a sama znikła. Una siedzi tamój i płace; Matka Boska esce jy sie pokazała i mówi:

— Helenka, przyznaj sie i t. d.

— Ni, Mateńko Boza i t. d.; wcale nie chce sie przyznać.

Jak to razo Matka Boska sie skryła, tak una dziwucha siedziała tamój trzy dni i trzy noce i prec płakała. Ale przychodzi znowu Matka Boska:

— Helenka, i t. d.

— Ni, Mateńko i t. d.

— Kiedyś taka, kiedyć sie tak zawzinas, to pokaz mi te jabko.

Una pokazała, a jabko we krwi powalane. I wziena Matka Boska i odstąpiła jo; nie chce jy wcale, tylo wyprowadziła jo na droge i powieda, zeby posła do swoich rodziców. Una posła, ale chodzi ode wsi do wsi, ni moze do ojców trafić; ale ukazuje sie jy Matka Boska i powieda:

— Użyłaś bidy i głodu, zapiranie nic ci nie pomoze, przyznaj sie, cyś otwarzała?

Una i wtedy sie nie przyznała i Matka Boska zmikła. Ale una dziwucha chodzi i chodzi; dostała do swoich ojców. A uni nie chco jo przyjąć, bo mnieli dosić swoich dzieci; powiedajo jy:

— Moześ ty nie nasa, a za tako sie podajes; idź sobie w śwat.

Wziena i posła znowu w śwat i wędruje. Ale ukazuje sie jy Matka Boska ostatni raz i powieda:

— Przyznaj sie, Helenka, bo jak sie tera nie przyznas, to bedzie bida twoja.

Dopiro una upadła do nóg Matce Bosce i płakała rzywnemy łzamy i przyznała sie do wszystkigo. Dopiro Matka Boska wszystko jy darowała, zabrała jo z sobo i una tera do dziś tamój gdiś zyje.

(Opowiedziała Juljanna Gortaika).

70. O MACOSE I JY PASIRZBICY.

Było sobie dwoje ludzi wdowców i mnieli po córce i ozenili sie z sobo. A córka tygo wdowca była ładna, a ty wdowy brzydka; i za to ta macocha dokucala strasznie ty swoi pasirzbicy. Ale raz dała jy ćwyrć maku, zmięsała z piaskiem i owsem i kazała jy paść takigo bycka, a to za to pasionko kazała jy wybirać, zeby nie usnęła. Una wziena to, wyгнаła bycka i pasie go, a płace wciąż. Un bycek przysed do ni i pyta sie:

— Cego ty tak płaces?

— Byculku, jakze ni mum płakać, kiedy, jak ja tygo nie wybierze, to mnie matka bedzie bić.

— Nie bój sie, tylo układź sie i spij, to bedzies mniała wszystko zrobione.

Una sie położyła i spała, a Pan Jezus dał, ze wszystko kozda rzecz było osobliwie na grumadke odebrana. Jak una wstała, zabrała to, bycka zagnała i oddaje matce. Una macocha zjenteresowała sie, ze to je tak zrobione; ale mówi sobie:

— Cekaj, dum ja ci gorse robote, co jy nie zmozes.

Na drugi dzień dała jy takich poklepi, takigo świństwa ze lnu i kazała jy bycka paść i zeby te poklepia sprzędła, krosna zrobiła i przyniesła śtyry štuki płótna. Una posła z unem byckiem i płace; ale byculek przychodzi i pyta sie:

— Cego tak płaces?

— Mój byculku, jakze ja ni mum płakać, kiedy mnie matka kazała te poklepia sprzęść, krosna zrobić i przyniść śtyry štuki płótna.

— Połóz sie i śpij, bedzies mniała wszystko zrobione — powieda un byculek.

Una położyła sie i śpi; odcyka, patrzy: śtyry štuki płótna lezo przy ni zebrane. Zabrała te płótno i gna bycka do dumu. Macocha patrzy i mówi:

— To nie sposób, chyba jy ten bycek tak robi; trzeba go zarznąć.

Ale zara rozchorowała sie strasznie, taka chora na śmirć. Mąż sie martwi, a una powieda do nigo:

— Mnie sie śniło, mój mężu, zebyś ty tygo bycka zarznoł, to jak jabym z nigo mięsa skuśtowała, to odrazbym wstała.

Dopiro un pejda:

— To ja go zarzne.

Jak go mniał zarzynać, tak ta dziwucha idzie do nigo, wziena go za syje, całuje i płace:

— Mój byculku, dziś ciebie zarzno.

A un pejda:

— Nie płac nade mno, mnje sie nic złygo nie stanie; ale słuchaj, jak me zarzno, to ty chcij ze mnie flaki cyścić; to tamój w nich znajdzies dwa ziarka: jedno psenicy i jedno jęcienne; to weź je sobie i wsadz je naprzeciwo swoigo okna.

Una tak i zrobiła. Jak go zarzneli, una idzie do ojca i powieda:

— Ojce, ja te flaki obcysce.

— To weź i obcyś je.

Una je cyści; ziarka so, wyjena je i wsadziła pod okno. Rano nazajutrz wstajo, a tu wyrosła pod oknamy złota gruska i złota jabłunka, złote owoce majo. Ale nicht ich ni moze sięgnąć. A to drogo przeizdzał cysarz i strasna go wonność z ty wsi ogarnęła. Kazał stanąć i pyta sie ludzi:

— Co to jest takie pachnące, co to taka wonność w ty wsi? tu musi być jaki owoc, abo jakie kwiaty?

Ludzie powiedają:

— Tu je taki a taki owoc, złote gruski i złote jabka, ale kiedy sie nie dadzo urwać.

Cysarz posłał furmana cy tam lokaja, zeby un sukał:

— Zawse tu chtëś musi być od tygo owocu?

Un cłojek przysed do ty chałupy i pyta sie:

— Chto tu je od tygo owocu?

Ta baba pokazuje na swoje córke:

— To jest ta.

Un mówi:

— Idź do cysarza.

Cysarz powieda:

— Moja dziwcyno, kiedyześ ty od tygo owocu, to przynieś mi go pare sztuk, niech ja go obace.

Una zabrała sie nazad do dumu, wziena półmisek i chce rwać: una do grusek, gruski podnoso sie w górę i una ni moze ich urwać; una do jabłek, jabłunka podnosi tyz gałęzie w górę. Posła do matki i powieda:

— Niech mama idzie, to moze mama potrafi urwać, bo ja ni moge.

Posła i ta matka i tyz ni moze urwać.

— To niech ociec idzie, powieda dziwucha.

Un przysed, tyz ni moze dostać. Tak ten ociec mówi na swojo córke:

— To chodź ty, córeckol

A macocha powieda:

— Cy unaby dostała! kiedy my ni mozem, to i una nie dostanie.

Dopiro ojciec prec woła:

— Pódź, pódź, to moze dostaniesz.

Una wychodzi, a gruski jy az sie na ziemni kłado. Urwała seć sztuk jabków i chce niść do cysarza. A ojciec pejda:

— Toć sie ogarnij mało wiela.

A macocha mówi:

— Po co una ma sie ogarniać; jak chodzi, niech tak idzie.

Wziena ta dziwucha i tak posła; zanesła ten owoc cysarzowi, a cysarz jy sie pyta:

— Cys ty od tygo owocu?

— Ja, pejda.

Wzion ten owoc i chce obaczyć te drzewa. Przyizdza, ogląda je i te dziwuche i powieda:

— Ty bedzies moje zuno.

Wzion jo ze sobo i pojechali, a ten owoc, ta gruska i ta jabłunka, sły za niemy. Gdzie uni staneli, to i te drzewa ustały. Jak jo do

siebie zawióz, ozenili sie, ślub wzieni i zyli ze sobo i te macoche do siebie zaprosili. A cysarzowi wypadło jechać na bojaż i pojechał; a igo zunie w tem casie dał Pan Bóg docekać dziecka, syna. Ta jy macocha lata koło ni, dogląda jy, ale powieda:

— Moja córecko, takaś nieładna, trzeba ci kąpiel po połogu zrobić.

A w tem pałacu wychodziło sie do wanny do kąpeli po schodach, a z wanny zara można było zliźć do stawu. Jak jo namówiła na une kąpiel i posły do wanny, to macocha zepchła jo w te wode, w ten kanał. Jak jo zepchła, tak Pan Jezus dał, ze una cysarzowa zrobiła sie gołębico ze złotemy piórkamy; i była naprzeciw pałacu altanka i una siadywała na ni. A ta macocha wziena i te swoje córke ułożyła za położnice, ale dziecka nie dała jy karmić, bo ni mniała pokarmu, tylo najena mamke; a mówiła sobie: przed cysarzem powiem:

— Twoja zuna sama karmić ni moze, bo je za delikatna.

Cysarz przyizdza do dumu, idzie do zuny, a ta zuna strąśnie mu sie zmieniła: pirw była ładna, a tera taka brzydka. Ale gada cysarz do ty baby:

— Straśniem smutny, ze ta moja zuna tak mi sie zmieniła.

A baba pejda:

— Bo to, uprasum cysarza, tera chto sie ozeni, to sie i otmieni; a tera una po połogu, to w dubelt razy esce zbrzydła; tu nima zadny dziwoty.

A cysarz, choc uwierzał ty babie, ale dręcy go prec sumnienie, ze una zmieniona i włosy ma jenne i ocy ma jenne. Zadny przywiązałości do ni ni mniał; co chciał do ni iść, to tylo spojrział na nio, to zara sie odwracał i sed gdzieindzi.

Ale u tygo cysarza był wierny kucharz i un lubiał śtraśnie te dawno cysarza zune nade wszystko. Ale razu jedno go przylata do nigo gołębica, staje sie kobito i powieda:

— Pamiętaj, kucharzu, ja bede do dziecka przez lufcik przylatać karmić, to ty mnie otwórz lufcik. A jak ja nakarmie dziecko, to znowu uciekne. Ale pamiętaj, ze jak ja przylece do lufcika, to zaśpiwum tak: „Kuku, kucharzu, cy śpis, cy nie cujes? cy śpi poganica mego kochanica?”

I ta gołębica co dzień w nocy przylatała do lufcika i tak śpiwała; kucharz jy otwarzał, una wlatała, piórka zawdy z siebie strząsnęła i stała sie niewiasto. Ta niewiasta klękała nad kolibko, to dziecko nakarmiła, znowu oblikała piórka i uciekała. I ta gołębica przylatała tak bez tydzień, az un kucharz za-

meldował się cysarzowi. Cysarz wyszedł i powiedział:

— Wis, kucharzu, strasznie jestem smutny, tak me ta zuna nie ciesy.

Kucharz pejda:

— Toć kiedy wprzódy była dobra, to i tera musi być dobra.

— Wprzódy, widzisz, zdawało się bardzo ładna, a tera wcale otmieniona.

Kucharz pejda:

— Bo to, uprasum jaśnie cysarza, to nie je zuna cysarza; eżli jasny cysarz chce się przekunać, chćórna zuna, to niech śpi w tem pokoju, co i ja.

Cysarz przystał i kazał unemu kucharzowi usykować sobie tamój do spania. Sam w nocy przyszedł tamój, wzion z sobą światło, nakrył je, nie zmruzył oka, tylko ceka. A tu przylata gołębica i śpiwa:

— Kuku, kucharzu i t. d.

Kucharz ją otworzył, ona wpadła bez lufcik, piórka otrząsnęła, stała się kobito i idzie do kolibki karmić dziecko. A cysarz nie ścirkiał, tylko odkręcił światło; jak ją obaczył, wyłeciał z łózka i grabnoł ją za rękę. Patrzy przy świetle: ta sama.

Zara zamglał przy niej. Jak ją ocucili, ona mu wszystko rozpowiedziała; ale on kazał ją

schować i nie okazywać nikomu. A sam wyprawił taki bal strasny, porozpisował listy po wszystkich królestwach, żeby się zjydzali królowie i po wszystkich panach. Jak się pozjydzali, un wystąpił i powie-
da:

— Co takiemu cłojekowi zrobić, co na cy-
je życie następuje?

A ta baba, macocha, występuje i po-
wie-
da:

— Ja osądze najlepi, choc ja kobita. Oto
wziąć wyprowadzić takiego cłojęka na pole
i wziąć zielaznemy brunamy roztargnąć po
polu.

Cysarz powie-
da:

— Toś moja kochana sama się osądziła,
boś na moi zuny życie następować.

Zara kazał wprowadzić swojo zune i tem
gościom o wszystkim rozpowiedział, a te
macoche wzieni na pole i roztargali zielazne-
my brunamy i nima jy juz. A cysarz z to
swojo zuno zyli szczęśliwie.

(Opowiedziała Juljanna Gortatka).

71. O JEDNEM PANIE, CO PRZEŚKA- DZAŁ PO ŚMIRCI.

W jednym mnieście umar pan i po śmirci
zacon prześkadzać: przychodził w nocy do

dumu i tak ciskał statkami i po podwórzu chodził i rumował wozami; nie wiedzieli co z niem zrobić. Ale ta pani, wdowa po tem nieboscyku, mniała lokaja i uzala sie przed niem:

— Mój kochany, zebym ja mogła takiego człowieka znaleźć, zeby my to zrobił, zeby ten pan nie przeszkadzał, tobym mu tyle dobrego wyśwadcyła, ilebym mogła; nawet posłabym za mąż za nigo.

Lokaj wysłuchał ty mowy pani i mówi do ni:

— Jabym poradził, zeby mi pani zaprzyjęła, ze sie ze mno ozeni.

Ona pani przysięgła mu cego żądał, a on powieda:

— Niech mnie pani esce kaze sprawić takie ubranie, jak temu panu na śmirć.

Ona mu spawiła i on wziął i zakopał te ubranie na dziewięć dni w ziemnie. Po dziewięć dniach wyjął je i obluk i w nocy idzie w niem na cmentarz. A na ty drodze był most i ten lokaj wlas pod ten most. Kawał w noc on pan wychodzi z grobu i idzie do mniasta, a lokaj wychodzi naprzeciw niego. Jak go ten pan obacuł, pyta go sie:

— Coś ty za jeden?

Lokaj powieda:

— Taki, jak i ty.

On powąchał go i mówi:

— To chodź ze mno.

No i ido; przyśli do dumu ty pani i ten pan mówi:

— Tera bedziem ciskać statkamy.

Co ten pan ciśnie statkiem, to statek sie nie stłuce, a co ten lokaj ciśnie, to sie zara potłuce w drobny mak. Tak ten pan mówi:

— Co to sie znacy, mój bracie? Widać tyś nie taki, jak ja, bo co ty ciśnies, to sie to zara potłuce, a co ja cisne, to sie nie potłuce.

On lokaj mówi:

— Nie dziwota, mój panie; cóz za zywota byłem mocniejszy, to i po śmierci takim jestem.

On powieda:

— Pódzmy tera w podwórze.

Jak pošli do owcarni i zaceni ciskać owcamy, to co pan ciśnie owco o ściane, to owca tylko beknie, zerwie sie i leci do gromady; a co lokaj rznie o ściane, to owca ani sie rusy. Jak juz obešli wszystko, ten pan mówi:

— Juz na mnie cas.

A lokaj pyta sie go:

— Ale jesce mnie pan nie powiedział, gdzie pan piniędze podział.

— No, pódz, to ci powiem.

Pošli i odmurowali słup, a tam był kocioł złota. Ten pan powieða:

— Chodź tera do mojego mieszkania.

Ido na cmentarz, ale, co tyło wešli, kobuty zapały i ten pan zmikł z oców i juz więcy nie przeškadzał, jak go ten lokaj tak wyprowadził. A ten lokaj późni ozenił sie z to panio, wykopał ten kocioł z piniędzmy i zyli sobie scęśliwie.

(Opowiedział Mateusz Otłowski).

72. O JEDNEM GŁUPIEM.

Mniała matka syna głupigo i wołu i każała temu synowi iść z tem wołem na jermark. Un posed do mniasta i stoi z niem; ale chto tyło chce kupać od nigo i targować chce, to un pejda:

— Cóz ci do tygo, co za tygo wołu? cy kupis?

I kozdemu tak powieðział. Ale nadysła noc i idzie un z tem wołem do dumu. A przy drodze stoi taka stara figura i ta blacha na ni, co jest wysoko, skrzypi. Un usłysał ten skrzyp i stanął, ale powieða:

— Cy kupis?

Una blacha znowu skrzyp.

— A na kiedy bedo piniędze?

Blacha skrzyp.

— Na środe?

Blacha wciąż skrzypi.

— Nu, to dobrze, kiedy na środe, pejda un głupi.

Ale wzion uwiązał u figury tygo wołu i posed do dumu. Matka go sie pyta:

— Cóz, synecku, przedałeś wołu?

— Przedałem.

— Gdzie mas piniędze?

— Na środe bedo.

— I komuś przedał?

— Figura kupiła.

Una matka zacena gadać na nigo, ale un nic nie zwaza. Przysła una środa; zara z samygo rana leci pod figure: wołu nima; ale obysed figure dokoła, a z drugi strony figury stojo piniędze w kociołku. Wzion i zabrał je, zaniós do matki i pejda:

— Figura juz oddała za wołu.

Matka sie uciesyła i powieda:

— Ba, synecku, zeby to esce więcy tygo było.

A un nie pyta, tylo wyleciał na droge i krzycy:

— Zeby to esce więcy tygo było, zeby to esce więcy tygo było!

A drogo wieźli chłopa umarłygo do grobu; jak usłyseli, że un tak krzycy, myśleli, że to z nich sie śnieje i jem tak zycy. Zaratyz jeden chłop złapiuł kija i wyzabijał unygo głupigo i powieda:

— A nie mozes ty, hielu, jak sie nalezy gadać: Wiecny odpocywanie rac mu dać, Panie.

Un głupi poleciał do matki i skarzy sie. A una powieda:

— Ba, synku, jak obacys, że umarłygo wiezo, to powidz: Wiecny odpocywanie rac mu dać, Panie.

Un wyleciał i prec tak woła, a chłop wióz dziecko do chrztu; jak to usłysał wzion zlaz z woza, wyzabijał go i mówi:

— Nie mozes, hielu, powiedzić: zeby to duze urosło, zeby to Pan Bóg chował.

Un głupi leci do matki i skarzy sie, a matka pejda:

— Ba, synecku, jak obacys, że do chrztu wiezo, to mów, zeby to duze urosło i t. d.

Un wyleciał i woła tak; a drogo sed chłop, co mniał taki guz na twarzy. A un głupi woła:

— Zeby to duze urosło, zeby to Pan Bóg chował.

Chłop go wyzabijał i powieda:

— Nie mozes, hiclu, mówić: zeby sie to roz-
pękło, zeby brzydastwo leciało.

Chłopak leci i skarży sie przed matko,
a una powieda:

— To tyz synecku gadaj tak, jak obacys
kogój z guzem.

Un znowu wyleciał i woła tak, zeby sie
to rozpękło, zeby brzydastwo leciało; ale dro-
go wieźli mniód i tronki różne; jak usłyseli,
co un gada, zlaz chłop i wytłuk go.

— Nie mozes, hiclu, powiedzić, zeby to lu-
dzie spozytkowali.

Un leci do matki skarżyć sie, matka mu
pejda:

— Ale, synecku, to tyz gadaj tak, jak be-
do wieźli tronki.

Un wylata, a chłop usiad na wysiadke;
daligo un wołać:

— Zeby to ludzie spozytkowali, zebyście
to sami spozytkowali.

Chłop go wyzabijał i powieda:

— A ty, hiclu, nie mozes powiedzić, zeby
to śwynie zjadły.

Un leci skarżyć sie, ale matka pejda:

— Juz synecku mas dosić tygo, juz ci
ludzie zanadto nadokucali; idź tera do koś-
cioła modlić sie, pomodlij sie i przychodź do
dumu.

Un posed i modli sie, póki ksiądz msy święty nie zacon. Jak ksiądz wysed ze mso święto, organy zaceny grać, un kiedy grabnie dziwuche jakoś, kiedy zacnie po kościele tańcować. Ludzie go złapili, wyzabijali i wygnali do dumu. Un przychodzi do dumu, matka go sie pyta:

— Cóz, synecku, pomodliłeś sie?

— O, wymodliłem sie i wytańcowałem, az me wyzabijali.

Matka sie zmartwiła, ze ten syn taki głupi i pejdziła:

— Kiedyś taki głupi, to siedź juz tera w dumu i nie chodź nigdzie.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

73. O TRZECH KUNIACH I TRZECH BRACIACH.

Jeden pan zasiał owies pod takim borem i ten owies przylatało i plątało trzy kunie. I ten pan ogłosił, zeby sie chto obrał i te kunie połapał, to te kunie byłyby igo. A było sobie w ty wsi trzech braci: dwóch mądrych, a trzeci głupi i te mądrzy zmówili sie łapać te kunie. Najpirw posed jeden je łapać, nabrał ze sobo zywności, chleba i piwa i idzie.

Ale przy drodze siedział sobie taki dziadek, a ten dziadek był Pan Jezus i ten dziadek pyta go sie:

— Gdziz ty idzies?

— Tu i tu kunie łapać, co panu owies plątajō.

— A co ty niesies?

— Co niese, to niese, cōz ci do tygo; niese kobyle gó... i kobyle s....; i posed dali.

Przysed pod bór, rozwija zawiniątko, zagłāda do chleba i piwa, a tu z nich zrobiły sie gó... i s.... kobyle. Ale nadchodzi ta godzina, kiedy te kunie wylatujō; wylata tygo dnia jeden kuń Gwiazda; un do nigo, kuń w nogi, ni moze go złapić. Dał Pan Bóg dzień, un wrócił nazad do chałupy i powieda, ze ni móg złapić. Zara idzie drugi mądry; zabrał tyz ze sobo zywność i napotyka na drodze tygo dziadka. Dziadek go sie pyta:

— Gdziz ty idzies?

— Tu i tu kunie łapać, co panu owies plątajō.

— A cōz ty niesies?

Un mu tyz tak samo powiedział, jak ten pirsy i posed. Przysed pod bór, zagłāda do placka i piwa, a tu sie wszystko obróciło w kobyle gó... i s... Nadysła ta godzina, wylatujō dwa kunie: Mniesiāc i Gwiaz-

da. Co kunie w owies, to un do nich, kunie zara w nogi i nie dały sie złapić. Dał Pan Bóg dzień; un przychodzi do dumu i mówi, ze ni mógł złapić. Na trzecio noc idzie ten głupi. Nie dali mu nic do zywności, ale un wzion sobie placek z popiołu i idzie. Na drodze napotyka unygo dziadka. Dziadek go sie pyta:

— Gdziz ty idzies?

— Tam i tam kunie łapać, co panu owies plątajo; ale juz tamój było dwóch moich braci i zaden ni mógł ich złapić.

— A cóz ty niesies?

— Placek z popiołu i wode.

— Usiądź, to oba zjemy.

— A cyby to dziadek jad?

— O co ci chodzi? nu usiądź!

Usiad, rozwinął, a z ty wody zrobił mu sie mniód, a z tygo placka najpiękniejsze ciasto. Najedli sie, napili, ale ten dziadek pejda:

— Tera idź; jak pódzies, to jak te kunie wyleco, to chtóry stanie, to idź do nigo i weź go.

Jak zased na mniejsce, wylatujjo trzy kunie: Gwiazda, Mniesiąc i Słońce. Un do kuni, stanęła mu Gwiazda; un jo wzion, wsiad na nio, przyjechał w nocy do dumu, wprowadził do stajni i przysed do izby. A te bracia go sie pytajo:

— Widziałeś te kunie?

— Wcale ni, nie widziałem.

Na czwarto noc posed jeden mądry; wylatajo dwa kunie:

— O, pejda, juz ty Gwiazdy nima.

Kunie mu uciekły i przysed przez nicegój do dumu. Na drugie noc posed głupi i stanął Mniesiąc, złapiuł go i zaprowadziuł do chliwka. Bracia pytajo go sie:

— Widziałeś co?

— Nicem nie widział.

Znowu posed jeden mądry; wysed tylo jeden kuń Słuńce, ale go ni móg złapić. Dopi-ro na ostatnie noc posed ten głupi i złapiuł i te Słuńce i przyjechał do dumu i zaper je w chliwku.

Ale w tem casie na jenny wsi wypadło wesele i tych dwóch braci zaprosili na nie, a głupigo ni. Un głupi pejda:

— Moze ja i póde z wamy?

— A gdziz ty tam bedzies chodziuł, taki owtaki, cyś ty tamój potrzebny?

Un sie ostaje, a uni pošli. Ale un, jak mniarkował, ze na tem weselu tańcujo esce przed ślubem, posed do chliwka, wsiad na Gwiazde, oblók sie jak sie przynalezy i marś na wesele. Przyjechał, stanął przed sienio; zaprasajo go do izby, a un powieda:

— Nic nie chce, tylo niech mi najmłodsza druchna przyniesie wody.

Jak mu przyniesła, un buch garnusek o ziemnie, panne na kunia i poleciał z nio do dumu. Panne i kunia wpuścił do chliwka, a sum wsiad na Mniesiąc i jadzie na wesele. Jak przyjechał, a tu taka jasność od nigo bije; proso go do kumpanii, a un powieda:

— Nic nie chce, tylo niech mi starsa druchna wody wyniesie.

Uni sie bojo jo wysłać, bo juz jedna druchna przepadła; ale jakzeby tu takiemu gościowi nie wynieść. Jak mu wyniesła, un buch garckiem o ziemnie, z panno na kunia wsiad i do dumu; wpuścił ich do chliwka, a sum wsiad na Słuńce i jadzie na wesele. Jadzie, a esce zdaleka widno od nigo. Przyjechał, proso go na wesele, a un powieda:

— Nic nie chce, tylo zeby mi młoda wody wyniesła.

Uni nie chco jy dać wynieść, juz młodsza i starsa druchna przepadły; ale jak zacón napirać, wyniesła mu una wody. Un buch garcek o ziemnie, a z nio na kunia wsiad i uciek do dumu; wpuścił młode i tygo kunia do chliwka, a sum idzie do chałupy, wlaz na piec i siedzi.

A te wesele przez ty młody i druchnów rozwiało się i wszyscy porozchodzili się. Une bracia tyz przychodzo do dumu, a un ich się pyta:

— Cóż tam na weselu było słyhać?

A uni pejdajo:

— Co ci głupi do tygo, bedzies się o wesele kłopotał.

Ale un nic nie mówi; wysed dzień, drugi, az na trzeci dzień pejda do nich:

— Chodźta, moi bracia, to obacem, co tamój w nasych chliwkach słyhać?

Une bracia pośli z niem. Zaglądajo do jedny stajni: o la Boga, takie źnije, padalce w ni; zaglądajo do drugi, takie same źnije i padalce. Ido i zaglądajo do trzeci, a w ni trzy kunie zarzały, trzy panny się rozśniały. Ten głupi dopirój wzion i dał jednemu bratu Gwiazde i młode druchne, drugiemu Mnie-siąc i starse druchne, a sum wzion sobie Słuń-ce i młode. I z temy pannamy się pozenili, wyprawili wesele i ja na tem weselu byłam, piwo i mniód piłam i t. d.

(Opowiedziała Helena Gniazdowska).

74. O WIATRZE.

Idzie dziwcak do kościoła, a na drodze siedzi sobie na kamnieniu taki dziadek i zsywa kozuch, a to buł Wiater. Przesła una dziwcyna koło nigo i nie mówiła nic; ale un Wiater odzywa sie:

— Pocekaj, kiedyś ty taka, kiedyś mi nie mówiła: Panie Boze dopomóz, ani pochwalonygo, to ja ci narobie wstydu.

Dziwcak to usłyszał i taki ciekawy:

— Co mnie ten dziad zrobi, jakigo wstydu mnie zada?

Ale posła do kościoła i ni moze sie od myślunku wcale modlić, tylko prec duma, jakigo wstydu ten dziad jy narobi. Ale wysli ludzie za procesyjo i wysed z niemy i ten dziwcak; a tu jak zawiunie wiater, zader jy wszystkich kiecków i kosiuli na łeb: ludzie sie na nio oglądajo, a una nie wi sama, co ze wstydu robić; dopiro poznała, ze to ten dziad tak zrobił. I takigo wstydu ten Wiater jy narobił.

(Opowiedział Stanisław Łuniewski).

75. O MATCE ŚWĘTYGO PIOTRA.

Matka świętego Piotra, jak umarła, dostała się do piekła. Jak się o tem święty Piotr dowiedział, posed do Pana Jezusa i prosił, żeby jo Pan Jezus wyzwolił z tamtąd i Pan Jezus kazał mu wziąć scypiorek, iść do piekła, podać jy ten scypiorek i wyciągnąć jo. Święty Piotr posed do piekła; jak podał ty matce ten scypiorek, una go sie ujena, ale razem z nio i więcy dus sie naujmało, gdzie chtórna mogła zasiądz. Ale ta matka chciała sama sie wydostać: jak się trząsneła, ten scypiorek sie urwał i una nazad ze wszystkiemy dusami wpadła do piekła. Święty Piotr znów idzie do Pana Jezusa i Pan Jezus pejda:

— To idź i podaj jy drugi scypiorek.

Jak posed i podał jy drugi, tak samo una go sie ujena i takze samo naucypiało sie u nigo dus różnych. Una znowu sie strząsneła i wpadła esce głębi w piekło. Posed święty Piotr i powieda Panu Jezusowi, ze sie i ten drugi scypiorek urwał. Pan Jezus powieda:

— No, to esce jy trzeci podaj.

Jak jy święty Piotr podał ten trzeci, jak sie una igo ujena to i jenne duse tyz sie jy imały, gdzie chtórna mogła. Ale una znowu

sie strząchnęła i wpadła na same dno w piekle. Un święty Piotr posed do Pana Jezusa i powieada:

— Panie i trzeci scypiorek sie urwał.

Pan Jezus powieada mu na to:

— Widzis, juz ja tera nic nie pomoge; a zeby una była nie taka zadrosna, toby i una wyratowała sie z piekła i więcy dus ze sobo wybawiła; ale za to, ze una była zadrosna, to tera bedzie tamój w piekle na wieki wieków na samem dnie.

(Opowiedziała Julianna Gortatka).

76. O ŚĆKLANNY GÓRZE.

Jeden król mniał córke i una za nikogój nie chciała iść, tylo prosiła, zeby jy ociec wystawił śćklano góre i chciała na nio wliźć i powieadziła, ze chto do ni wpadnie tamój do trzech raz na koniu, to sie z nio ozeni. Ten król zrobił tak; wystawił góre śćklano, una tamój wlaźła i zjydzali sie do ni; rozmaite kawalirowie chcieli wjechać na te góre, ale nicht nie móg. Ale było trzech braci, dwóch mądrych a jeden głupi i oni o ty królewnie usłyseli i daligo te dwa mądre jechać do ni spróbować, cy nie wpadno

na górze. Zabirajo kunie i majo jechać; ale i ten głupi napira sie, zeby go z sobo wzieni. Uni powiedajo:

— A ty po co tam pódzies?

Wzieni i pojechali, a un został; ale jak odjechali, un idzie piechoto do boru; w tem boru wychodzi do nigo taka klac prześlicna i niesie dla nigo ubranie. Un swoje zdyjon, ubrał sie i pojechał. Przyizdza, wpad na górę, zjechał i ucieka. Gunili go, ale uciek. Przyjechał do boru, ubranie zdyjon, włożył je na klac, swoje oblók, przylata do dumu, wlaż za piec i siedzi. Przyizdzajo uni mądre bracia, a ta matka sie ich pyta:

— A cóż, synecku, wpateś chtóry?

— I, gdzie tam, powiedajo, wpatem; jakiś sowizdrzał przyleciał i wpad, a num esce po pare batów dał, zleciał i uciek.

Na drugi dzień toci znowu odjydzajo; jak odjechali un posed do boru, wysła klac, ubrał sie, wsiad na nio i pojechał. Wpad na górę do królewny, zawrócił, zjechał nazad i uciek. Klac w boru puścił, sum przewlók sie, przysed do dumu i siedzi. Une bracia wracajo; matka ich sie pyta, cy chtóry nie wpad.

— Gdzieby tam chto wpad, ten sum sowizdrzał wjechał i uciek.

Na trzeci dzień jak pojechali, un głupi znowój w boru przewlók sie, wsiad na klac i wpad na te góre; ale ta królowna ni mogła go nigdy zatrzymać: wziena mu i to razo przyłożyła mu piecątke pod capko na cole. Jak zjechał, uciek do boru, klac puściuł i przysed do chałupy. Uni mądre przyizdzajo i powiedajo matce:

— Nima tam co robić, ten sowizdrzał to i trzeci raz tamój wpad.

Ale po tem juz sie nie nalaz taki, coby na te góre wjechał. Królowna martwi sie, ze tygo, co wjechał nima; prosi króla, zeby wyprawiuł bal i posprasał wszystkich, to una pozna po cole, chto do ni wjechał. Ten król wyprawiuł bal; nazjydzalo sie rozmaitych gości, oglądajo wszystkim coła, ni mogo go znalizć, bo un głupi nie przysed na ten bal. Królowna dopiro poradziła królowi, zeby porozsyłał ludzi po śwecie, zeby sukali takigo z piecątke na cole cłowieka. Porozsyłał un król i sukajo. Ale przyjechali do tych braci, obejrzeli unych mądrych, powiedajo:

— Wyłaż i ty, głupi.

— I, cy ja tam zdatny, powieda un głupi.

Wywlekli go z za pieca, oglądajo go: ma gwiazdke pod capko. Wzieni go z sobo, zawieźli do króla, wysykowali go, dali mu po-

rządne ubranie i un ozenił sie z to królewno. Ale cóz, kiedy sie królewnie nie spodobał, nie chciała na nigo patrzeć, a un tylo spał. Ale drugi król temu króloju wydał wojne. Król pojechał na wojne, a tygo głupigo zostawił. Ale un posed do boru, klac wysła, ubrał sie w bruń, pojechał na wojne, wszystkich porozguniał i nazad przyjechał. W boru puścił klac, bruń z siebie zdyjon, przysed do pałacu, prys do pokoju i siedzi jakby o nicem nie wiedział. Król przyidza z wojny i rozpowieda, ze sie taki jakiś wyrwał, niewieda zkąd i obronił go. Drugi raz tyz wydał jenny król temu królowi wojne; un pojechał na wojne, a ten głupi poleciał do boru, wsiad na klac, wzion bruń, przyleciał i porozguniał wojsko. Późni uciek, klac puścił i schował sie do pokoju. Król przyidza i powieda, ze znowu ten sam go obronił. Za trzecio razo, jak królowi wydali wojne, un tyz pojechał na ty klacy i zwojował wszystkich; ale jeden jak strzelił, tak mu palic przestrzelił i król wzion urwał kawał chustecki swojy jedwabny i owinąc mu dał ten palic. A na tem kawałku były wysyte litery króla: imnie i nazwisko. Po wojnie un uciek z kuniem, puścił go w boru, a sum przyleciał i położył sie w pokoju spać. Król tyz zara przyjechał i rozpowieda córce, ze tak a tak sie zrobiło. Una królewna prze-

chodziła bez pokój tygo głupigo i obacyła u nigo na palicu une chustke króla. Zara poleciała do króla i rozpowiedziała mu. Un sie tyz przyznał i juz odtąd zyli ze sobo szczęśliwie.

(Opowiedziała Wiktorja Wodzeńska).

77. JAK SIE IZ Z ZAJĄCEM UŚCIGAŁ.

Razu jednygo sed sobie drogo iz i napotkał zająca; daligo sie z nim zakładać; założyli sie, chto kogo prześcignie. Tak sobie odmnirzali plac niemały i usykowali. Ale ten iz napotkał drugigo iza i pejda:

— Idź ty w tamten brzyg, a ja w tem brzegu sie zostane, to my wyścigniem zająca.

Jak sie tak usykowali, dali sie gunić un iz z unem zającem. Zając na galop przyleciał do drugigo brzega, a iz tamój stoi i pejda:

— A wej, ja juz tu.

Zając esce prędy nazad do swoigo brzega, a tu tyz juz iz je i pejda:

— Ja juz tu.

I zając tak prec latał i nigdy ni móg wyścignąć unygo iza, choc un sie z mniejsca nie rusał. Ale tak umordowali une ize tygo

zająca, ze uwaluł sie i musiał zdychać, bo sie za mocno zmordował. I takim sposobem iz buł chyzsy niżli zając.

(Opowiedział Marcelli Gniazdowski).

78. O JEDNEM MŁYNARCYKU.

Jeden młynarczyk ucuł sie młynarstwa, ale ni móg sie go naucyc, bo był bardzo głupi. Tak sie puściuł w swat na wędrówke i dość na tem, ze chodziuł dwa mniesiace i ni móg sobie nalyżć takigo mniesca, coby mu było dobrze. Ale idzie do zgody do jednygo młynarza i ten młynarz mówi:

— Zgódź sie do mnie, to bedzies u mnie pasał śwynie.

I mówi ten chłopak:

— Dobrze, mój panie.

Zgodziuł sie do unygo młynarza i pasał śwynie. Ale ten chłopak umniał takie štuki, jakby chto zacarował; jak komu co zadał, to nicht ni móg tygo odcynić, az ten młynarczyk odcyniuł nazad. I ten młynarz nie chcial jemu dawać wiela jeść i un uwzion sie za to na tygo młynarza. Tak raz stała sie temu młynarzoju škoda: wiater popsuł młynarzoju wietrak, a najgorzy wał u wietraka. Un mły-

narz pojechał do boru, kupił kloc na wał. Jak przywióz, zaprosił swoich sąsiadów, żeby mu pomogli obrobić ten wał. Jak zaceni obrabiać, un chłopak wyguniał śwynie; dali uni kiepkować z nigo, pejdajo:

— Panie młynarzu, chocieno pomóz num robić tygo wała—i śnieli sie z nigo.

Ale un tylo zęby ścion i nic nie mówił do nich na takie ugryzanie, tylo w swoi myśli dumał i wydumał jem štuke i mówi sobie:

— Zacekajta, tylo ja przygnum śwynie, to ja wum zadum štuke, to wy mnie nazwieta mądrem.

Tak jak przygnał śwynie i uni znów sie z nigo śniejo, un mówi:

— Panowie, cy wy wicie, co wy robicie? wy majstry dobre, a robita wał za krótki.

Dali uni mnirzać, wał za krótki.

— A to dopiro, pejdajo, pirwój buł wał prawie, a tera je za krótki.

A to ten chłopak tak jem zrobił i młynarz musiał jechać po drugi wał. Jak pojechał un młynarz, un zagrzał wody i woła młynarki:

— Niech, powieda, pani weźnie jeden sagan, a ja drugi, to skropiem gorąco wodo ten wał, to my go naciągniem.

Wzieni te wode, skropili un wał i ciągnogo, ciągnogo, prec ciągnogo. Ale przyizdza młynarz z lasa z drugim wałem, a ten młynarczyk mówi:

— Panie młynarzu, ten wał to tera prawie, bom go naciągnął.

Młynarz do wała mnirzać, a wał prawie. Podziękował pięknie za to temu młynarczykowi i nauczył go młynarstwa. I takim sposobem un głupi młynarczyk został młynarzem z ty štuki.

(Napisał Marcełi Gniazdowski).

79. O JEDNEM DJABLE, CO U CHŁOPA SŁUZUŁ.

Kiedyś buł bidak cłowiek jeden, podupad i ni mniał co jeść, ale upiek sobie z popiołu taki placek, wzion go za pazuche i posed do roboty. Jak przysed do roboty, zdyjon ten sukmanek i w tem sukmanku zostawił ten placek, a sam wzion sie i karcuje sobie pole. A satan przyleciał i chciał go skusić, zeby un zaklon i wzion i porwał mu ten placek; usiad na kępie i zjad. Ten chłop jakies pare godzin porąbał, zachciało mu sie jeść, bo juz podemgłał; przychodzi do sukmanka, zagłada, unygo placka nima. Tak powieda:

— Mój Boze, mój Boze! ja bidny, ale musi być esce bidniejsi so, kiedy sie na mój placek łasco.

A un satan, jak zjad placek, poleciał do piekła; ten najstarsy pyta sie:

— Cóżeś tam zrobił?

— Nic — pejda — nie zrobiłem; chciałem skusić bidnygo chłopca i zjatem mu placek.

— A cóz un mówił?

— Nic nie mówił, tylo — pejda — powiedział: Mój Boze, mój Boze! ja bidny, ale musi być esce bidniejsi so, kiedy sie na mój placek łasco.

Tak un najstarsy pejda:

— Toś źle zrobił, kiedy un nic na ciebie nie powiedział; musis do nigo iść i odrobić mu bez trzy lata za ten placek.

Un chłop karcuje, a ten satan zara wyleciał z piekła i przychodzi do unygo chłopca i pejda:

— To i, gospodarzu, karcujecie?

— Tak — pejda — mój panie, karcuje.

— Mozebyście — pejda — me, gospodarzu, przyjeni na służbę.

— Azać, panie, ja moge wziąć kogo na służbę? Ja sum jeść co ni mum, a escebym służących trzymał.

— Ale me — pejda — przyjńicie, to oba przędzy cós zarobiem, a jeden to dudle i dudle i zawdy nic ni ma.

— Nu, to — pejda — kiedyć tak chces, to karcuj, a ja kaze śmniadanie ugotować dla ciebie i przyniese.

— Ja nie bede jad, jaz na wiecór, kiedy nima co: nie brak, gospodarzu, chodzić, tylo ukłaść sie i polezyć, bo sie gospodarz zmećul; a ja tera bede karcował, to na wiecór oba pódziem na kolacyje.

Jak ten sie połozuł, ten jak sie wzion karcować, to co ten mniał mnić na rok, to ten o jeden dzień wykarcował; do wiecora to tylo kopy z tygo lasu leżały. Un chłop sie obudziuł, obejrzał sie i powieda:

— O, Bógze mi ciebie zesłał, kiedyś taki mocny; toć jabym i bez dwa lata tygo nie zrobiuł.

Ten sie tylo zasupiuł i pejda:

— Nu, nu, chodźcie na kolacyje, bo i wum i mnie sie jeść chce.

Przyšli na kolacyje; kolacyja je dla tygo chłopca, a dla drugigo nima. Ta kobicina pejda:

— O ty, trupie, ty sum ni mas co żryć, a esceś parobka namówiuł; cóz mu das jeść?

A un parobek siada w kąciku wedle kotliny i pejda:

— Niech gospodyni nie gada nic, to ja jutro póde do mniasta i kupie, to bedziem mnieli co żryć.

Nazajutrz słuńce wzesło, dopiro pejda ten parobek do gospodarza:

— Gospodarzu, wstuńcie i mnie dajcie worka do zboza, to ja póde do mniasta i przyniese zboza, to bedziem mnieli co jeść; a sami weźcie pakuł, słumy i ognia i idźcie palić te grumady, com nakarcowali.

Wysło moze dwa godziny, a un je nazad; niesie wór zboza do chałupy, postawiuł i pejda do gospodyni:

— Wziąć w zarnach umlić i ugotować num kasy, a ja póde do gospodarza w pole.

Przychodzi na pole; gospodarz dopiro jedne kopke spaluł; tak un pejda:

— Ja juz zboza przyniós, a gospodarz dopiro jedne grumade spaluł.

Jak wzieni oba palić, jeden jedne, drugi drugie, chtórny wpirw spali, do polnia spalili połowe. Gospodyni przyniesła jem obiad; siedli do obiadu, podjedli, a un pejda:

— Gospodarzu, ogarnijcie te pecyska, co-by sie spaliło do cysta, a ja póde do śwagra dla kuni.

Przyprowadziuł pare kuni z takim kula-sem i zacon niem orać. Jak zacon orać, to

karpa i nie karpa sie wywalala, te kunie takie mocne byly. Do wieczora zaorał te polowe; na wieczór przyjechali do chałupy, a un pejda:

— Siadajcie, gospodarzu przy piecu, a gospodyni niech wstawi w wielki sagan wody, a ja wezne te zboze i pojade na młyn.

Moze wywarło godzine, je z mąko; kunie wyprząg, spętał, puściuł i przysed na kolacyje. Kazał ugotować dosić, bo pejda:

— Ja sie przymorzuł, muse podjeść; tera to chocbym rad dość wziąć na plecy, to mo cy ni mum i gospodarz tyz, weźnie lada kierzek, to ni moze go uniść.

Gospodyni nagnietła, ugotowała i podjedli. Po kolacyi un pejda:

— Tera, gospodarzu, kładźmy sie spać.

Pošli spać; nazajutrz wstajo, un pejda:

— Gospodarzu, wstuńcie, bo skowrunek śpiwa, cas do roboty; wyrzycie na te kuniska, moze uny gdzie daleko zasły.

Gospodarz podniós sie, patrzy i pejda:

— Toć je widać ajnu.

— To weźcie bica i przygnać my je do woziska.

Gospodarz posed z bicem i przygnać je do woza. Un wysed, zaprząg.

— Tera — pejda — ja pojade po zboze do siwu na tek-kawałek, to my go dziś esce oporzadziem.

Tak moze wywarło dwa godziny, un przyizda na pole ze zbozem do siwu. Przywióz jarki, jęczmienia i prosa. Kunie puścił i jarke najsumpirw sieje. Na ten kawał, co wcoraj wykarcowali, un sieje jarke, a gospodarz zaprząg kunie do takigo włoka i wlece. Jak zasieli ten kawał, puścili une kunie na paśnik; gospodyni przyniesła obiad i usiedli do obiadu. Po obiedzie un pejda:

— Nu, gospodarzu, esceście grumadów nie spalili wszystkich, to trzeba je tera spalić.

Wzieni sie do unych grumadów, spalili je, esce moze był tak podwiecórek. Un pejda:

— Nu, to obcyście to gospodarzu, a ja zaprzęgne do radła, to bede orał; kunie juz galańcie przezerły.

Wzion i orze, a gospodarz ogarnia węgle takim kosiorem. Zaorali wszystko, na jedny połowie zasieli jęczmień, na drugi połowie proso. Nadysed wiecór, przyizdzajo do chałupy. Un chłop pejda:

— Mój chłopce, jak ty mas na imnie?

— A jak! Bartosek!

— Mój Bartosiu, to ciebie chyba do mnie Pan Bóg przysłał?

— I, gada gospodarz, takem oto wędrował, ni mniałem gdzie iść, obaculem, ze gospodarz karcuje i do gospodarza przysetem.

Przespali noc, nazajutrz un pejda:

— Juzem zasieli w jednym polu dobrze, trzeba w drugim siać, ale nima cem; trzeba kupić kartoflów; niech mi gospodarz da piniędzy, to ja to kupie, bo i tamto to ja tylo skuntraktował.

— Mój Antosiul skądze ja piniędzy wezne; mnie zydzi nie znajo, ciebie lepi, kiedy ci na bórg dali; mnie nie dadzo, bo ni mum ni kopijki; jadź ty.

— Powiedziałem gospodarzowi, ze ja nie Antoś, tylo Bartoś, a gospodarz my na imnie nigdy ni moze trafić. Tociem juz pare dni, a gospodarz prec mnie przeinaca. Nu, ale niechtam, to wstuńcie i gotujcie z gospodynio, a mnie przygnajcie kunie, to ja je zapręge i pojade do unygo mniasta.

Pojechał do mniasta; uni śmniadania nie dogotowali, un je z mniasta i przywióz kartofli i wieprza, bo nie było okrasy. Un gospodarz pejda:

— Mój Bartosku, a chtóz ci tygo wieprza dał?

— Chto kartofli dał, to i wieprza dał, a gospodarz niech nie mówi nic.

Po śniadaniu zabili wieprza i kazali gospodyni obsykować, a samni pojechali orać na kartofle. Wzieni ze sobo kartofli, zrzucili u jednygo i drugigo brzega; un orze, a gospodarz za niem sadzi w otłóg. Jak wysadzili une kartofle do wpołowy pola, jado nazad do chałupy. Przyizdzajo, a un pejda:

— Niech gospodarz wyprzęze kunie i puści za chałupę, niech sie przetro, a my, zacem gospodyni dogotuje obiad, to tygo wieprza rozprowadziem.

Wzion go za ogun, przycypiuł go do kuli, wzion rozplatał, bebechy wywaluł i pejda:

— Gospodarz niech wykopie wondół i zakopie te bebechy.

— Mój Bartosku, azać to sie tak robi? u nas to sie tygo nie zakopuje, to sie jy.

— Niech gospodarz wywali, kiedy powiedum; gnójbym oto jedli!

Gospodarz posed kopać wondół, a un wyrzucił flaki w ten wondół, porąbał wieprza, i w balije popakował. Przychodzi późni do gospodarza i pejda:

— No, cóz tera bedziem robić?

— Mój Bartosku, tocieś ty mądrzejsy jak ja; ja tobym esce nie zacon siać, a z tobo to i odsielim i kartofle odsadzilim.

— Nu, to — pejda — niech gospodyni idzie do mniasta i kupi kapusty, a my pódziem z gospodarzem orać i bedziem jo sadzić.

— Mój Bartosku, a chtózby mi tam dał kapusty, kiedy my ni mummy piniędzy.

— Nu, to cekajcie, gospodarzu, ja wum napise kartke, to niech gospodyni z nio idzie do takigo i takigo ogrodnika, to un wam jo da na bórg.

Napisał gospodyni kartke i dał jy w ręke, zeby z nio sła po kapuste. Una posła do mniasta, a uni pošli orać. Ale to takie mniejsce na te kapuste było, ze esce woda stojąła, a un orał. Ale un gospodarz pejda:

— Mój Bartosku, cóz tu sie urodzi, kiedy tu takie parowy i taki chrap?

— Nu, nu, niech gospodarz nie mówi nic. Uorali juz dwadzieścia lich, gospodyni nima. Un pejda:

— Mojaz, gospodyni esce nima, ja z tygo mniasta nie co raz, a trzydzieści razybym obróciuk; niech gospodarz tu posiedzi, to ja pojade po gospodynie, bo una i na polnie nie przyńdzie, a kiedyćbym jedli obiad.

Przyjechał do mniasta, gospodyni esce nie myśli iść, tylo rwie. Un zdala krzycy:

— O bieda dopiro tem leniwem ludziom; oto tu od rana rwać i rwać i nic nie urwać,

Jak sie zasadził, to co tylo mniał ten ogrodnik, to wyrwał i włożył na wóz w deski. A un ogrodnik patrzy na nigo i pejda:

— To dla kogo tyła rósady? toć ta gospodyni zgodziła dobry kos, a pan oto pełen wóz narwał!

Un sięgnął do kieseni i pejda:

— Co chces za te rósade, co je na wozie?

— Una me koştuje, gdyby me przysło jo przedać po kosykach, to una me co najmni dwadzieścia rubli koştuje.

Tak un sięgnął do kieseni, wyjon z kiesieni pieniądze i pejda:

— Trzymaj capke!

Ogrodnik zdyjon capke, a un mu nasypał pelniutko i pejda:

— Mas za te kapuste.

A una gospodyni stoi i patrzy. Jak mu nasypał pełne capke, pyta sie go:

— A bedzies mniał dość?

— O, bede mniał.

Tak un do gospodyni:

— Nu, siadajcie — peda — gospodyni, bo tamój gospodarz bez obiadu ceka głodny i my tak samo oboje głodni; a mozeby gospodyni piwa wypila?

— Mój Bartosku, kiedy ni mum za co.

— Nu to ja mum.

Podjechali do senkowni, zleźli z unygo woza i ido do senkowni. Un kielisek wódki, a gospodyni śćklanke piwa wypili i jado. Una sie obśnieliła i pejda:

— Mój Bartosecku, zkądeś ty tyła piniędzy wzion, kiedyś ty tyła za te rósade wywalu?

— Ja — peda — towarzystwo zaciągnonem od jednoygo pana i muse mu za to odrobić.

Tak więcy nic do nigo nie śniała gadać i przyjechali do chałupy. Przyizdzajo do chałupy, un kaze gospodyni w jednym saganie stawiać śwynie mnięso, a w drugiem kluski, a sum pejda:

— Ja pojade po gospodarza na pole.

Pojechał, przywióz gospodarza, obiad zjedli, po obiedzie mówi:

— Wszyscy pódziem sadzić na duch kapuste.

Przyjechali na pole sadzić; gospodarz pejda:

— Mój Bartosku, chtóz tu weńdzie w te parowy, toć tu oto taki chrap, a ty chces sadzić.

— Nu to, gospodarzu, zaprzączcie kunie do radła, to dумы przeguny, to sie obsusy ta parowa.

Jak zaprząg une kunie, to jak wywaluł taki rów, to zeby jedny wody nie było, wszystka zleciała.

— Mój Bartosku — pejda un gospodarz — jakie te kunie mocne, co uny taki rów wywalily.

— Nu nu, niech gospodarz nie plecie, tylo sie tera wziąć i zasadzić kozdy swój kawał, chto więcy zasadzi.

Jak sie wzieni sadzić, to co uni jedno li-che zasadzo, to un dwie. Ale ta gospodyni pejda:

— Mój Bartosku, aleć ty zadość tych rósadów sadzis i po dwie i po trzy w jedno mniejsce, a toć to sie sadzi po jedny.

— O, jaka to — pejda — gospodyni głupia, choc sie zestarzała; toć to na to sie sadzi dwie i trzy, ze jak uschnie jedna, to bedzie druga siedzić; a gospodyni jak jedna uschnie, to juz nic w tem mniejscu nie będzie.

Zasadzili une rozsade; przyizdzajo do cha-łupy; gospodyni wziena sie gotować kolacyje, a uni pojechali do mniasta przywiźć mąki i kasy. Kupili to, troche wypili, a un za wszystko płaci i przyjechali nazad. Przyjechali moze o północku, kolacyje zjedli i spać. Nazajutrz wstajo, a un pejda:

— Gospodarzu, juzem wszystko obrobili, to ja póde na robote; macie juz co jeść,

wszystko obsiane, to ja kunie odprowadze
śwagrowi.

— Mój Bartosku, nie odprowadzaj tych
kuników, bo ja tak lubie na nie patrzeć.

— Ale ja je muse odprowadzić, bo to nie
nase.

Odprowadził une kunie śwagrowi, a igo
tak zostawił na gospodarstwie. Ale jak
przysed nazad, posed do pana roboty sukać
i nie nalaz roboty; tylo mu sie taka robota
sykuje, ze jeden pan stawia dwór i wozi na
dwór chójki. Un radby wozić, ale kunie od-
prowadził. Przychodzi do gospodarza i roz-
powieda mu:

— Do tygo pana — pejda — to i ja cip-
nołbym sie wozić, ale kuni nima.

— Pocóżeś — powieda — mój Bartosku od-
prowadził tamte? jak uny rów wywalily, to-
byś i chójki w nie przyciągnół.

— Ba, gospodarzu, to powidzcie, co za nie
zapłacicie, to ja póde nazad do śwagra i przy-
prowadze je.

— Jabym dał za nie ze styrdzieści rubli.

Ugodzili sie i un posed i przyprowadził.
Pojechał na pirsy raz do boru, z panem sie
ugodził, ze panu zwiezie sum środek od ziem-
ni do góry, a swojemu gospodarzowi za te
robote weźnie cubek. Jak pojechał do boru,
wzion galke za cubek, wywaluł jak była gru-

ba, wywaluł z karpó, wwaluł na swój wózek i jadzie. Te dworskie parobki śmiejo sie z niego, a un usiad tak wysoko na korzeniach, siedzi i gwizda sobie i patrzy na nich, ze uni tak pracujo i śmieje sie z nich. Gdzie chto ni moze wyjechać, to ni moze, a jemu wszędzie tak idzie jak nikumu. Przyjechał przede dwór; pan wygląda oknem; patrzy: chłop wiezie cało chójke z karpó i z gałęziami; wysed pan i pyta go sie:

— A zkądżeś ty sie wzion, mój człowieku?

— Toć pan, pejda, wi; toć ja jestem służący tygo Walesieica, co siedzi tamój pod lasem.

Tak pan dopiro pejda:

— Toś ty sposobny, kiedyś ty w takie otokunie nie tęgie potrafiuł przywiźć tako štuke.

— Ba, panie, bom ja napad taki wywrot, kuńmy go wciągnułem na wóz i przywiózem.

— To choće do mnie do pokoju.

Postawiuł mu butelke wina i bochenek chleba i pejda:

— To mas podwiecórek.

— Ale jabym—pejda—chciał, zeby pan kazał ludziom oderznąć te karpe i te gałęzie, bo ja to wezne dla siebie za furmanke.

Tak ten pan zegnał chłopów z piłamy i rzno: deńdu, deńdu; gdzie tam ni mogo przedeńdać uny karpý. Ale dopiro un, jak wzion

siekiry, odcion cubek, a uni deńdajo karpe. Ale un jak sie zasadzi do karpy, odcion jo, a z nich sie esce nakspił, naśniał. Tak uni pejda:

— Boś ty nie taki cłowiek, jak my.

— Nu, ale jaki?—pejda—ja taki samy wiary, jak i wy.

Wzion potem cubek włozuł na wóz, karpe korzeniamy na gałęzie, usiad na ni i jadzie do gospodarza. Gospodarz wysed i pejda:

— O, mój Bartosku, cy cie pan nie przyjon?

— Przyjon.

— I tu esce wiezies?

— Ja—pejda—z panem obyjonem sie trzydzieści stuk przywiźć, a za te mojo fatyge trzydzieści takich fur jak ta przywieze gospodarzowi.

I zacon tak jeździć po te drzewo; dwa razy dziennie obraca panu i gospodarzowi. Gospodarzowi wirzchamy i karpamy zawaluł podwórze. Gospodarz jednygo razu pejda:

— Mój Bartosku, juzbyś oto dał pokój temu drzewu; całe podwórze zawaluleś my temy kołtunamy i te kuniska zameęcys i sum siebie.

Ale un wzion i pozwoziuł wszystko. Nadyśły zniwa; tak un pejda:

— Ale to, gospodarzu, już zniwa, u niektórych panów potrzebuje ludzi zbierać i młócić; to wy sami zbierzcie i woźcie w te kurnie, a ja póde na drażbę do dworu, najne się za draska. Przysed do jednygo dworu i zgodził się z panem na drażbę. Pan pejda:

— A cóż ty, człowiecze, będziesz chciał, jak namłócisz zboża?

— Ja, panie, nic nie będę chciał, tylko koźdygo zboża tyle, co ja radze.

— Nu dobrze.

Un przysed do stodoły do jednygo scytu, nakręcił stodoły, posed do drugigo, tyż nakręcił; zdjon cały wirzch i postawił na ziemni. Pan wyjrzał, ni ma cubka u stodoły; wysed i patrzy: a un siedzi tak wysoko na ścianach. Pan pejda:

— Cóż się my najlepsygo zrobił? wzioneś my oto cubek od stodoły zwał!

— No, no, niech pan nic nie gada, aż wszystko ukuńce, toć cały jy nie popsukem.

Pan posed; ledwie dosed do ganku i obejrzał się, a te zboże w ty stodole idzie takim wiatrem w górę nad stodołę; jedne snopy nad drugie; wszystko razem to się zmięsało, co tylko było; to un tak trząs. Un pan się zatrwoził, ujon się za głowę i pejda:

— Ola Boga, co ja z tygo będę mniał, kiedy tamój je i gryka i jęcmień i żyto, a un

wszystko potrząs i pomieśaś; co to—pejda—za drasek?

Jak juz nie stało do dna, un rešte wytrząchnoł i dopiro z kozdygo zboza słume odebrał i na osobno kope złożuł. Kopy popostawiał za stodoło i wieje te zboze. Wieje te zboze: jęcmień leci na osobne grumade, gryka na osobne, groch na osobne, psenica na osobne, zyto na osobne; a plewy wszystkie leco w jedno grumade. Jak zwiął wszystko i dokuńcuł, posed do jednygo cuba scytu, uniós go i załozuł; posed do drugigo, naprostował go tyz i postawił ten strop na stodole jak wpirwój stojał, i zara oręduje do okumuna, zeby mu dał worka i otworzuł śpichrz; juz chce nosić te zboze do śpichrza. Tak un okumun posed do pana i zameldował o tem panu. A pan sie pyta:

— Jakze un tam zrobiuł?

— Dobrze, prose pana.

— To nakazcie parobkom wynosić te zboze, a jemu kazcie i drugie stodołe wymłócić, kiedy tamte wymłóciuł.

Parobcy pošli wynosić zboze, a un z drugi stodoły rzucił wirzch i znów młóci. Jak juz powymłacał wszystko do cysta u tygo pana, ze juz nie było nic, idzie do porachunku. Pan go sie pyta:

— No i cóz chces, dum ci tyła kozdygo zboza, co radzis, jakem sie wprzód umówili.

— Dobrze.

Przynióś zara słomy; jak zacon pasy kręcić, to ukręcił taki długalki pas i okręcił tem pasem ten śpichrz dokoła. Późni jak sie podsadził, to tyło kamnienie zostały, a wszystko posło. Un okumun leci, ręce rozwała i pejda:

— Mój panie, toć co un robi, tyło fundament ostał, a wszystko zabrał.

— Toć ja—pejda un pan — jak un cubek od stodoły zdyjon, to takem myślał, ze un to zrobi.

A un przynióś do gospodarza ten śpichrz, postawił i idzie do izby; a una gospodyni pejda:

— Mój Bartosku, tak nas tęskno było; ten trupięga to prec wyglądał i pejdał: A gdziz ten Bartosek? A gdziz ten Bartosek? Jak przysed do dumu, to tyło o tobie gadał.

— To widzi gospodyni, com napracował u tygo pana; co jemu sie dostało, to jemu, a co mnie, to mnie. Bedzie tera mniał gospodarz co jeść na cało zime.

— Bo wej, mój Bartosku, nie wis co ci powiem.

— Nu co?

— A to zaprosili nas na wesele na jutro; i ty z namy pojedzies.

— Dobrze, pojade.

Na drugi dzień jado na wesele. Pojechali i byli i nazad wrócili; a un tylo raz zatańcował z jedno panno; jak puściuł, to jo okula wiuł i zadna panna nie chciała z niem tańcować. Po tem weselu siedzieli sobie we troje i gospodarzyli. Ale u jedno go pana było dość gnoju nawozone na pole i nie potrząsione. Zwołali ludzi i Bartoska trząść un gnój. Po przychodziło dowolna dziwcaków, chłopaków i trzęso gnój, a un przysed i układ sie i lezy. Przetrzęśli raz, a un lezy; zachodzo drugi raz, okumun pejda:

— Przyseteś za dzień i bedzies lezał!

A un sie śnieje z tygo. Posed un okumun do rządzycgo i pejda mu:

— To jakiś łajdak ten Bartosek; wziąć i odprawić go, kiedy mu sie nie chce robić.

Przysed un rządzca do nigo z okumunem i naschodziło się tych, co trzęśli; a un lezy i śnieje sie, nie chce jem wstać, esce jem pejda:

— Chocbyśta wy i pięć razy przetrzęśli, to ja z wamy zdąze. A zreśto kiedy me odprawiata, to wsadźta my chćóry noge w d..

Zwaluł portki i jeden mu wsadziuł noge.

— Nu to wsadźta i wy wszyscy.

A ta pańscyzna śnieje sie i pejda:

— Co to sie znacy, coby un tako duzo d... mniał.

Ale wszyscy mu powsadzali i okumun, tylo esce rządca został. A un pejda:

— To niechze i pan rządca wsadzi, esce mniejsce jest.

Ten rządca chujtnoł, zaklon i wsadził mu noge w d..... A un, jak mu rządca noge wsadził, jak d... ścisnoł, to nikogój nie wypuścił. Ci krzyco, a un wstaje i chodzi przy kazdem rządku, a te rękamy sie łapajo ziemni i gnój trzęso i potrząśli mu wszystek igo gnój i co buł na tem całym kawale. Unygo rządcygo tak umęcuł, ze ledwie zywy buł. Jak potrząśli ten gnój, to jak p....., to kozdy w swoje strune poleciał, upad i leżał. A un sie oper o taki kamnień, lezy i śnieje sie z nich. Przysło połnie, ido wszyscy na obiad, idzie i Bartosek. Un rządca leci najpirw do pana i pejda:

— My go na otwiecyrze nie przyjniem, to sie nie oplaci; un duzo robi, ale moze wszystkich ludzi zabić.

Pan pejda:

— Zacekajze, jaz ja wyjade po polniu na pole obacyć; jak potrząśli kiepsko, to go wygnummy; a jak dobrze, to co naprzeciw nigo występować, eźli un dobrze robi.

Jak pan wyjechał zobaczyć, dobrze i ślicznie wszystko zrobione; gnój je w każdym miejscu, każdy bobek rozwalony.

— To widzisz—pejda pan—kiedy un to zrobił, to un za was wszystkich pieniądze dostanie; wybyłoby to trzęśli tydzień albo dwa, a un to bez dopolnie zrobił. Zawołaj go do mnie do pokoju, to un dostanie za was wszystkich za cały dzień.

Bartoska zawołali; przyszedł do pokoju i pan mu płaci za sztyrdzieści ludzi za dzień, sztyrdzieści złotych. A un pejda:

— Ja tylko tyle zarobiłem, co inni; ja chce tyle tyle, co zarobiłem.

Pan mu zapłacił złoty i un przyszedł na zad do unygo gospodarza. Gospodarz pejda:

— Jużeś Bartosku przyszedł?

— Przysetem, potrząsem gnój, pan my zapłacił i jestem.

— Juz nima gnoju?

— Nima; cóż to znaczy taka kwota gnoju!

Tak nazajutrz un wzion się do siwu jesionecnygo; pejda do gospodarza:

— Ja zaorze na psenice, a gospodarz zostanie młócić w dumu.

Zaorał i zasieli psenice, późni i zyta trocha i juz ukuńczyli siw jesionecny. Jak od-

sieli, tak nazajutrz znów ich proso na wesele. Pojechali na wesele, a gospodarz pejda:

— Aby, mój Bartosku, nie śnij sie na tem weselu, bo ci wszyscy ludzie wylatują za tobo i przypatrują ci sie.

Na unem weselu jak usiedli do obiadu, po obiedzie jak zjedli, zaceni młodo cypić. Ale un, jak sie do ni przysunął, tak jo ścisnął, tak jaz jy ten mózg z głowy na pułap prys. A un dopiro, jak sie roześnieje, to wszyscy, kto tylo był i mały i duży porozlatali sie do chałup. A un gospodarz bierze go i pejda:

— Nu to zaprzęż kunie, to pojedziem i my; bo tu nicht nie przyńdzie, bo sie wszyscy przerazili.

Ale jak przyjechali do chałupy, un pejda:

— Juz ja, mój gospodarzu, póde od gospodarza.

— Mój Bartosku, nie chodź, ja cie esce bede trzy lata trzymał.

— Nie chce, juz ma i tak gospodarz wszystkigo dowolna. Ale gospodarz nie wi, a mnie śwager przysłał do gospodarza na służbę za ten kawał chleba z popiołu, com go gospodarzowi zjad.

— A cóz ty bedzies chciał za te służbę?

— Ja nic—pejda—nie bede chciał, ale jak sie gospodarzowi urodzi córka, to my jo gospodarz da, ale jak będzie miała dziesięć lat.

— Mój Bartosku, kiedyć mnie sie co urodzi, kiedy ja mum tako babe staro, siwo i sum starym.

— To nic, moze sie esce co gospodarzowi urodzi.

Ugodzili sie i un zabrał sie i posed od nigo. Jak posed od nigo, tak nazarok urodziła się unemu gospodarzowi córka, a un myślał, ze mu sie urodzi syn. Jak te córke obacuł, to zara pejdział:

— Niech cie tyła i tyła djablów weźnie.

I w tych słowach oddał jo djabłu. Esce una nie dosła dziesięciu lat, a ten ociec jy umer; una pasala gęsi, a ten Bartosek przychodził i powieđał jy, ze sie z nio ozeni. Tak ta dziwcyzna jednoraz posła do matki i pejda:

— Przychodzi do mnie, mamulku, taki pan i chce sie ze mno zenic.

Una matka pejda:

— Dzwce, tocieś ty esce zas i chces sie zenic.

— Kiedy un my skrzątwy nie da, tylo pyta prec: cy matka kaze przyńść mu?

— Nu, to niech przyńdzie.

Nazajutrz un przysed, postawił na stole wina, piwa, butelków, co tylo jeść ugodno; ale go ta matka nie widzi, tylo ta dziwucha. Ale una matka pejda:

— Butelki igo so, a gdziz un je sum ten pan?

Una dziwucha pejda:

— Siedzi za stołem, podper sie ręką.

— Nu to zawołaj sołtysa, podsoltysa i jennych ludzi, to moze go obaco.

I una zawołała jennych ludzi dowolna. Tak ta matka pejda:

— Moić to ludzie kochani, cy chto z was moigo zięcia widzi, cy ni? Toć przyniós wszystkigo dowolna do jeścia i do picia, a igo samygo nima.

Uni tyz pejdajo:

— Nie widać go.

Ale ta dziwucha mówi:

— Ale ja go widze.

Uni usiedli gościć sie; jak zjedli i wypili, una sie usykowała do ślubu jechać. Jak sie usykowała, un jem tem ludziom pokazał coś na dworzu; ludzie polecieli oglądać to, a un jo grab i na dwór oknem. Jak jo grabnoł, poniós jo powietrzem i zaniós jo na takie chrapy, na takie oparcyska; i jak jo tamój utknoł w chrap, to jy tylo troche głowy widać było. A te ludzie przychodzo ze dwora do izby, dziwuchy nima. Dawaj jy sukać; dopirój nazajutrz znaleźli jo, tylo jy łeb troche wystawał w chrapie. Dawaj jo ciągnąć za łeb, wyciągneli jo. Dawaj jo swęcić, księ-

za do ni zwozić, bo widzo, ze to niecysta siła. Ksiądz przyjechał; una sie zara odzywa:

— Trudna tu rada; powiedział Bartosek, ze mnie wysłużuł i matka z ojcem oddali mnie sami, to ja tamój muse u nigo być i mnie nicht nic nie poredzi: ni ksiądz, ni śwecenie, bo mnie rodny ociec i rodna matka ciortowi oddali.

I ten ciort znowu jo porwał i utknął w chrapie i zamećuł.

(Opowiedział Piotr Połomski).

80. O JEDNEM PANIE I IGO KUCHARZU.

Mniał jeden pan syna i juz mu oddał całe swoje gospodarstwo ze wszystkim. I un tam rządził, ale Bóg wi co nie wynawiał. Raz wzion i wygrodził taki ogród za stajnio, zeby tam wszyscy z cały wsi chodzili s...; i tak przykazał kozdemu, ze jakby sie chto wy... we wsi, to go zara kazał przyprowadzić do siebie, wyciągali go na stolku i bili w d.... To tak sie kozdy bojał go i jeden drugigo pilnował i kozdy ze wsi tamój chodźuł; dość na tem ze chodzili przez rok; dopiro późni wzion zaorał i na tem kawale zasiał psenice.

Psenica mu sie taka zwaliła, jak łup; ale jak jo zebrał z pola, to zara wzion jo i omłócił, i mniał ty psenicy sto korcy, ale zara kazał zawieżć na wietrak na kluski, zeby mu młynarz zmniuł. Młynarz zmniuł, wzieni i przywieźli mąke z wietraka; a ten pan zara kazał kucharzoju ugotować klusków. Ale un kucharz mówi sobie:

— Cekaj, kiedyś ty taki mądry, to ja ci śpasa zrobie!

Wzion sie do unych klusków i wzion w nie nas . . ., zagniót je z unem gó, nagotował i daje unemu państwu na stół. Ale une państwo jedzo kluski, a kluski śmirdzo; pan idzie do kucharza i powie:

— Coś ty zrobił tem kluskom, co uny tak śmirdzo?

A kucharz powie:

— Ja nic nie zrobiłem, ale to prose pana zrobiło się przez to, ze ta ziemnia tak nasiękla tem smrodem i ten fetór wszystek leciał temy dziurkamy co w słumnie jaz do kłosa i ziarno przejon i dla tygo ta mąka taka nie-dobra.

Pan podumał i pejda sobie:

— Prawde mówi ten kucharz.

I wzion zara te mąke, kazał dać ludziom i więcy juz tygo nie robił; zara kazał ten

ogród rozgrodzić; i tak ten kucharz tygo pana osukał.

(Opowiedział Szczepan Sucheński).

81. O LENIWEM PAROBKU.

Jeden parobek był taki leniwy; raz posed pod gruske i układ sie pod nio, pysk rozdziawił i ceka, zeby mu w ten pysk same gruski leciały, bo mu sie nie chciało urwać. A to drogo śli Pan Jezus z świętem Piotrem i usiedli na spocynek. Święty Piotr powieda:

— Panie, cego ten człowiek tak usta rozdziawił?

— A bo—pejda Pan Jezus—un je taki leniwy: nie chce mu sie podnieść i urwać gruzek, tylo chce, zeby mu same gruski do ust leciały.

Wstali i ido dali, a dziwucha gnój trzęsie: tak rwie, jaz poty na nio występujo. Święty Piotr pejda:

— Panie, tamten taki lezy pod grusko i nie chce mu sie urwać gruzek, tylo chce, zeby mu same leciały, a ta dziwucha jak to z cały siły gnój rwie?

— To widzisz wej, Pietrze, ta dziwucha to będzie igo zuna, bo jakby oboje sie takie le-

niwe dobrali, toby od głodu musieli umnirać; a tak to una bedzie pracować, a choc un bedzie leniwy, to sie nie bedo dawali bidzie i bida bedzie uciekać od nich.

Ale ten chłop podniós sie i idzie taki głodny za niemy drogo, a esce mu sie nie chce urwać gruzek. Doguniuł ich i znowu idzie kole Pana Jezusa i świętygo Piotra. Ale Pan Jezus spuściuł przed nigo bochenek chleba; un chce go brać, a bochenek ucieka. Un prec za niem leci, bo juz mu sie do nieprzewycięzenia jeść chciało. Święty Piotr pejda:

— Panie, niech ten bochenek przed niem stanie.

— Nie, nie stanie, az un go wypracuje, bo kozdy człowiek wtencas moze jeść, jak krwawie zapracuje.

I tak guniuł ten chlib pół mnili, tak sie zgrzał, ze mu z kozdygo włoska leciało. Dopiro Pan Jezus dał mu, ze stanął ten chlib; un go podniós, posiłuł sie. Jak sie posiłuł, tak Pan Jezus pejda do nigo:

— Nigdy sie wej nie leń, bo lezałeś tamój pod grusko i chciałeś, zeby ci same gruski do ust leciały; tylo zawdy pracuj i pros Pana Boga, bo Pan Bóg prace przyjmuje to i ty zawdy bedzies mniał positek.

(Opowiedziała Juljanna Gortatka).

82. O PILGRZYMIE.

Pilgrzym pilgrzymował bez rok cały i zsed sie z tako niewiasto w drodze; una sie igo pyta ta niewiasta:

— Coś ty bez rok upilgrzymował?

— Ja na to — pejda — poświęcił sie pilgrzymować na całe zycie, zebym mógł swoje grzychy jako zgubić i mnić letko śmnirć.²

— Nu to choć ze mno, to obacys, jak kto bedzie przez grzychów umnirał, a jak kto z grzychamy.

Pośli i przyśli do jednoy dumy; tam wesele; nazjydzalo sie gości, jedzo i pijo, gularajo i ta dumowa gospodynĳ tamój sie ciesy z niemy. Jak obiad wykuńcyli, na samem ostatku pęcki dojadają i ta gospodynĳ zjadła jeden pęcok i wziena drugi i zara padła, śmnirć na nio przysła. Cuco jo, wielkie cuda z nio robio, ale to nic nie pomaga i nic nie znacy. Wyśli oboje, a ta niewiasta pejda:

— Widzis, ta gospodynĳ ni ma grzychu nic a nic; mniała śmnirć leciutko. A tera chodź w drugie mniejsce, to ja cie zaprowadze: kto ma dobry grzych, to wtencas obacys, jak un kuńcy.

Przyśli do drugy wsi; lezy chłop, juz rok choruje. Una niewiasta pejda temu pilgrzymowi;

— Un wej juz trzeci dzień kuna; widzisz, jak un wywisa język na piersi, ale wszystkie grzychy przed nim stojo i un ni moze umrzyć. To widzisz — pejda — pijaństwo. Przepiuł włóke ziemni i braci ukrzywdziuł i za to esce i dziś nie umrze, a ja mu sie ukaze az za trzy dni; un musi swoje wycirpić na tem świecie.

Wyšli, a un pilgrzym pejda:

— O moja pani, o jaki ten człowiek udęcun, ze un tak język wywisa i męcy sie, a ta śmnirć do nigo nie przyńdzie.

A un nie wiedział z kiem un chodzi, boć ta niewiasta to była śmnirć. Pejda un:

— Zebym ja wiedział o swoich grzychach, za jakie ja kare mum cirzpić, to jabym esce za zywota do samygo piekła posed, aby letko skuńczyć.

— Mój kochany — pejda una niewiasta — mozes iść i wypokutujes tam za swoje grzychy; ale cy cie aby do piekła pusco? Bo jak cie pusco, to jak tylko w jedno męcarnie wlecis, to juz nie wyńdzies, bo nie bedzies mniał pumocy.

— O moja pani — pejda — kiedy pani tak wszystko wi, zeby mnie pani tyz pomogła z troche w tem piekle.

— Nu, nu, tylo idź, to ja sie do ciebie dowiem.

Un rozsed sie z nio i posed; przysed na brzyg piekła; zara do pirsych drwiów go nie puscajo, pejdajo:

— Tu nie wolno zywemu chodźić; piekło tylo dla samych martwych i potępiunych.

A un kuniecznie chce iść; tak uni go wzieni za ręce i wyprowadzajo nazad. Un sie wzion i idzie w to samo mniejsce, zkađ przysed. Zachodzi mu droge ta sama niewiasta i pejda:

— A co, bułeś?

— Bułem, ale mnie wyrzucili.

— Dałabym ci—pejda — kartke, toby cie za to kartko wpuścili, przesedbyś sie po piekle i rozejrzałbyś sie.

— O, moja pani—pejda—ja tak łakne, zebym sie tamój móg rozejrzyć; zeby mnie sie te grzychy zgładziły.

Wziena mu i dała te kartecke i wrócił nazad do pieków, oddał temu pilnującemu kartke i zara go wpuścili w jedne drwi. Jak go wpuścili za jedne drwi, tak go tamój dali podali. I tak sed bez trzy studnie; i aby bez jedne przesed, a w drugo wleciał. Wleciał i juz go nima bez dwa dni. Owa pani go sie spodziwa, ze un wróci, a igo nima. Posła za niem tamój do ty studni, wydobyła go na wirzch i pyta go sie:

— A cóżeś widział?

— Nicem—pejda—nie widział, tylo zimno doline.

— A takeś łaknuł do ni; ale tygo esce kuńca nie bedzie; tylo pamiętaj, jak bedzies esce sed, to skoro wlecis na bezdenność i utopis sie i nie bedzies mniał zadny pumocy, to uwazaj i powidz: Jezusie, synu Dawida, ratuj me! to cie wezno i wyrzucó.

Sed un dali do samygo ostatka; juz go tak skrajali w ladach na siecke, a un zapomniał o wszystkim; ale jak przybacuł sobie, tak pejda:

— Jezusie, synu Dawida, ratuj me!

Zara go wyrzucili, un sie zros i posed dali. Wzieni go w drugie mniejsce, gdzie go siekacamy ścieni; ale un przybacuł sobie i powiedział:

— Jezusie, synu Dawida, ratuj me!

I zara sie zros i sed dali. Wpólty sed tak, az dosed do rajy; a raj to je za piekłem. Tamój z rajy ludzie wyśli i pejdao:

— Juz dosyc twoi męcarni.

I wzieni go z sobo do rajy. I ta niewiasta sie tamój nalazła i un jy dziękowal:

— O szczęśliwa i piękna—pejda—pani, coś ty me tak naprowadziła; juz mnie sie grzychy zgładziły; nie potrzebuje jeść ani pić, tylo juz myśle tu żyć całe życie; ja juz ztąd nie póde.

I rozešli sie; un pobuł tamój jakiś cas, ale przychodzi do nigo święty Jadum i pejda:

— Ty sie wynoś ztąd; tutaj zyjący ludzie nie siedzo; dostanies sie, jak pódzies na tamten śwat i umrzes.

Wygнали go; un idzie na ziemnie; zachodzi mu droge ta sama pani i pejda:

— A cóżeś tam słysał?

— A tom słysał—pejda - ze tamój mniejsca dla mnie nima, ze muse na ziemni umrzyć.

— Musis—pejda—iść do swoich pozegnać sie z ojcem swoim i matko swojo, to wtedy umrzes.

Un wzion posed, pozegnał sie i zara leciutko zycie ukuńcuł i dostał sie nazad do raj.

(Opowiedział Piotr Połomski).

83. O TRZECH BRACIACH.

Jeden chłop miał trzech synów: dwóch mądrych, a jednygo głupigo i powiedział jem:

— Jak ja umre, to zebyśta nad mojem grobem wartowali trzy noce, kozdy jedno noc.

Jak umer, pochowali go, tak posed ten głupi wartować i wartował pirse noc; na drugie noc kaze ten ociec temu głupiemu, zeby przysed ten najstarsy. Ale na drugo noc ten najstarsy nie chce iść, tylo zeby znowu sed ten głupi. Un wzion i posed. I ten ociec pejda do nigo:

— Dlacego najstarsy nie przysed?

— Un sie boi i mnie wyгнаł.

Przewartował drugo noc, ale ten ociec przypila mu, zeby na trzecio noc przysed ten średni. Nadysła trzecia noc, średni nie chce iść, tylo zeby sed znowu ten głupi. Un posed i wartuje; i znowu pyta sie igo ociec:

— Cemu ten średni nie przysed?

— Un sie—pejda—boi.

— Nu, kiedy uni sie bojell, to ty mas tera taki bacik; jak palnies tem bacikiem, to co zamysłis, to ci sie stanie.

Ale w tem królestwie królewna nie chciała za mąż iść, az chto do ni wskocy na kuniu na trzeci piętrz. I rozpisali, zeby sie młodzi zjydzali. Jak sie te dwa mądre bracia dowiedzieli, mnieli i uni jechać. Ale un ich tak prosi, zeby i igo wzieni. Uni pej-dajo:

— Nie tacy tam bedo głupie, jak ty i nie zrobio tygo, a tybyś to zrobił.

Wzieni sie i pojechali; jak wyjechali za las, tak un wysed przed sień, pęknoł tem bacikiem i pomyślał sobie i stał sie kuń i króleskie ubranie. Oblók sie i pojechał za niemy; jak ich zdoguniuł, jak zacnie ich tem bacikiem lać, tak ich zbiuł, az jem ubranie poprzecinał. Zajechał do tygo mniasta przed mnięskanie ty królewny; jak pęknie bacikiem, wskocuł na pirsy piętrz; a igo esce bracia nie nadjechali do mniasta, a juz powiadajo, ze nima po co jechać, bo juz jeden królewic wskocuł do ni na pirsy piętrz. Rozjechali sie, un zajechał do chałupy przed sień, pęknoł bacikiem, wszystko sie niewiadu gdzie podziało. Un wlaz za piec i siedział. Jak te igo bracia przyjechali, powiedajo:

— Wej chciaeś jechać, a jak nas jeden królewic doguniuł i jak zacon batem lać, to patrzaj, jak num oblicenie poprzecinał.

— To nic—un pejda—ale jutro to wy me musita wziąć, chocas z raz.

Nazajutrz uni sie wybirajo, un ich prosi na mniłość, zeby igo wzieni. Ale uni pejdajo:

— Gdziebym my cie tam brali; my mądrzy, a ni mozem nic zrobic, esce batem dostaniem.

Zabrali sie i pojechali; zajechali za las, un wysed przed sień, pęknoł bacikiem i stał sie kuń i króleskie oblicenie. Oblók sie i poje-

chał; jak ich dogoniuł, to tyła jem nakład, co tyła sum chciał. Minoł ich i pojechał; jak wpad do mniasta przed te kamnienice, pęknoł bacikiem i wskocuł na drugi piętrz. Igo bracia nie dojechali, a juz gadajo, ze jeden królewic wskocuł na drugi piętrz. Un jak wskocuł, zawróciuł zara nazad, przyjechał do chałupy, pęknoł bacikiem, wszystko przepadło i sum wlaz za piec. Uni przyizdzajo; un ich pyta:

— A cóżešta słyseli?

— Toć, zebyś ty tamój buł, to tybyś chyba zdech od strachu; bo my tyła wycierpielim; jak nas jeden królewic zacon bić, ni moglim sobie zadny rady dać: ni ucieknąć, ni nie dać mu sie.

— O, bo wyšta takie; zebym ja tamój buł, tobym mu wnet kurte skrajał. Jutro rano na trzeci dzień, to me musita wziąć, zeby tam nie wiem co; niech choc z raz obace, jak tamój skaco na ten piętrz.

Nazajutrz uni sie sykujo, kunie cysco, wysykowali sie i nie wzieni go.

— Gdziz ty tam — pejdajo — bedzies dziś jeździuł; dziś i tak ostatni dzień, to i tak ci nic sie z tygo nie zawiąze.

Uni wyjechali za lasek, a un wysed przed sień, bacikiem pęknoł, stał sie kuń i króles-

kie ubranie. Oblók sie, wsiad na kunia i pojechał; jak ich doguniuł, jak zacnie ich ciąć, tak ich wybiuł, pazury jem poprzecinał i pojechał. Zajecheł do mniasta do ty kamnienicy; jak ustał, jak pęknoł bacikiem, wpad na trzeci piętrz. Zara ta królewna wziena mu capke z głowy zdyjena i na głowie złote pieczęć przysadziła i umówili sie, ze ich wesele bedzie az za dwa tygodnie. Ale un odjechał wcale nie wraca. Porozpisywali listy, zeby sie zjydzali ci, co wskakowali na ten piętrz. Un przyjechał tyz, ale sie nie zestrojł jak wpirwój. Una królewna chodzi prec i podnosi wszystkiem capków; juz tem najlepsem wszystkiem popodnosiła capki, juz tylo ten jeden głupi został, taki obderty, obdrapany, zasmoluny. Una duma, cyby mu podjąć capke, cy ni. Podniosła capke, a un ma złote pieczętke na głowie. Zara ten jy ociec wzion jo wcale ze swoich pałaców wygnał za to, ze mu tak źle doradziła. Wystawiuł jem tylo tako bidno chałupe i tamój siedzieli. Jak ten król pojechał na wojne wojować, to wojowali przez dzień, ale tak mu wszystko wojsko wybili, ze mu tylo trocha zostało. Ten głupi wysed i patrzy, że ten król mało co ma wojska; pęknoł bacikiem i stał sie kuń, króleskie ubranie i siabla. Ubrał sie i pojechał; jak zacon wojować, przewojował tygo

drugigo. Ten jy ociec przychodzi i powieda do ty swoi córki:

— Widzis, zebyś posła za jakigo królewica, to byłby my wojsko na pomoc przysłał. Toć i dziś małom nie przepad, tylo jakiś królewic przyjechał i jak zacon my pomagac, to esce przewojowalem.

Una mu na to nic nie mówiła i król sie zabrał i posed nazad do swoich pałaców. Na drugi dzień znów idzie na wojne; pozbiarał juz i tych pobiletnych i ido wojowac. Jak zaceni sie bić, zbili go, juz tylo mu mała kwota wojska została. A un głupi wysed i patrzy, co to sie tak robi, ze igo ojca wojsko przepadło; jak pęknie bacikiem, stanął kuń, króleskie oblicenie i siabla. Ubrał sie, wsiad i pojechał na wojne; jak zacon bić, jak zacon bić, to jak mało mniał igo ociec wojska, tak tygo drugigo esce mni zostało. A tak mu sie trafiało, ze go wcale nie skalicyli ni kulo, ni siabło. Ten król wygrał wojne i idzie do ty swoi córki na wiecór i pejda:

— Widzis, jakeś ty zrobiła; tera my wielko rzeco byłoby, zeby my chto wojska przysłał, a twój głupi mi nie przyśle. I dziśbym przepad, tylo to, ze jakiś królewic pomaga my.

Una mu ani słówecka nie odrzekła, ta igo córka i un pojechał. Na trzeci dzień znowu

ten król idzie wojować; już pozbił wcale starych żołdaków takich z brodami i wąsami, żeby się bić. Jak się wzieni bić, jak się wzieni bić, o bijo się, o bijo się, tak nareście unygo króla tak zbili wojsko, jakby go wcale nie było. Ale un głupi wyszedł przed chałupę i patrzy, że igo ojciec wcale zwojowany; jak pęknie bacikiem, stał się kuń, ubranie królewskie i szable. Jak się oblece, jak dojadzie, jak zacznie bić, jak zacznie bić, przewojoywał wszystkich; ale mu jeden obcion szablą mały palic u prawy nogi. Zara ten król wzion mu swoję jedwabną chusteczkę z wysyciem obwinął te nogę. Na wieczór przychodzi ten ojciec do ty swojej córki i powie:

— Widzisz, bez trzy dni my pomagał na wojnie jakiś królewic; aż mu trzeciego dnia obcion mały palic u prawy nogi; ale mu swoję jedwabną chustkę z wysyciem obwiązał te nogę.

I król posed; a ta królowna nazajutrz patrzy na swoję męża, co un tak kuleje na jednę nogę; koniecznie chciała się dowiedzieć, co mu je; ale un jej nie chciał powiedzieć. Ale w nocy układli się spać i ona mu po cichu odwinęła nogę i zobaczyła, że ta sama jedwabna chusteczka z wysyciem. Tak zara nie spała, tylko poleciała z radości do ojca i powie ojcu, że to jej chłop ma ucięty mały

palic u prawy nogi i ma owinięto noge jedwabno chustecko z wysyciem. Tak ten jyo cieć natychmiast przysed do nigo oglądać, cy prawda. Zaśwyciuł, patrzy na noge, ma mały palic u prawy nogi obcięty i ma to samo chustecko noge owinięto. I zara ich zabrał nazad do swoigo pałacu. To późni, gdzie jaka wojna była, to ten głupi wywojował i juz kuniec.

(Opowiedział Marcelli Gniazdowski).

84. O LUCYPERZE.

Najstarsy djaból to je Lucyper; un stoi na łańcuchach w piekle na samem dnie i ciągle sie pod niem pali; un rządzi całym piekłem i wszystkiemy djabłamy. Te djabły to prec gryzo zębamy i pilnikamy rzno ten łańcuch, co un na niem stoi; ale jak tylo ksiądz na Wielganoc zaśpiwa Aleluja, to ten łańcuch nazad sie zrasta.

Ale dawni ten Lucyper to nie buł djabłem, tylo jak Pan Bóg stwarzał świat, to un chodziuł z Panem Bogiem i patrzył na to, co Pan Bóg robiuł. Ale raz przyšli do jedny studni i Pan Bóg umacał palic w wodzie i kinuł za siebie i zrobił sie amniół. Ten Lucy-

per to widział i jemu była zadrość, ze un tygo nie robi. Ale jak Pan Bóg odddzielił ziemnie od niebie, chciał un Lucyper dowiedzić sie, jak tyz ta ziemnia je głęboka i u-
tknoł swój palic w ziemnie, ale nie zgrunto-
wał. Dopiro Pan Bóg sie obejrzał i powieda:

— Lucyperze, Lucyperze, cego ty mi robo-
te psujes!

I pošli dali i Pan Bóg ciąğ stwarzał róż-
ne rzecy, a jemu zadrość była i chciał ukuć
łańcuch na Pana Boga. Zacon go kuć, ale
Pan Bóg wiedział co un robi; dopiro powie-
da do nigo:

— Lucyperze, kiedyześ taki mądry, to ty
sie najwpirw w to ubierz.

Jak sie ubrał, tak Pan Bóg powieda:

— To cekajno, ja cie zaprowadze w jedno
mniejsce.

A un z tygo strachu nie wi, co ma robić,
poleciał do ty studzionki i maca palice w ty
wodzie; co kinie za siebie, to staje za niem
dziesięć amniołów mu na pomoc. I z niemy
wszystkiemy un Lucyper posed na amnielskie
chóry. Pan Bóg tyz posed do ty studzionki
i kinoł palicem za siebie i stał sie święty Mni-
chał. Pan Bóg do nigo powieda:

— Mnichale, Mnichale, strąć ich, zeby ze-
śli z chóru amnielskigo.

A święty Mnichał pejda:

— Panie, azać uni mnie słuchać bedo, eźli uni Ciebie słuchać nie chco.

— Na lascke — powieda Pan Bóg — tylo kinies nio na nich, to zleco wszyści.

Święty Mnichał posed i kinoł i zara wszyści zlecieli z chórów amnielskich i lecieli bez styrdzieści nocy bez styrdzieści dni i wlecieli w te samo mniejsce, gdzie un palic utknoł. I w tem mniejscu wybili sobo piekło. Pan Bóg zara tam posed i ubiuł go tamój tygo Lucypera na samem dnie na łańcuchu przy ścianie. Ale te djabły chco tygo Lucypera uwolnić i spodziwajo sie, ze esce ztamtąd wyńdo na sąd boski.

(Opowiedzial Piotr Połomski).

85. O JEDNEM CHŁOPIE, CO DZIECIAKA MNIAŁ.

Byli sobie chłop z kobito i ta niewiasta, jak rodziła dzieci, to zawdy mniała parke. Mniała una raz jedno parke, drugi raz drugo i ten chłop nic jy za to nie mówił. Ale jak juz chodzila taka gruba trzeci raz, un pejda:

— Jak ty tera bedzies mniała parke, to ja cie zabije.

Dopirój jak una zachorowała, un posed po babke; babka jo zrewidowała i powieda do ni po cichu:

— Wej, moja kochana, bedzie znowu dwoje.

Una sie martwi i pejda:

— Moja babko, co ja mum robić, bo ten mój mąż to pejdział, ze me zabije, jak mu bede mniała esce raz parke.

Una babka pejda:

— Cekaj—pejda—nic ci nie bedzie, ale ja powiem przed niem, ze ty bedzies mniała jednygo dzieciaka, ale ze i un bedzie mniał drugigo.

Wziena ta babka nagotowała mu grochu i syrwatki i opasała go. Po obiedzie un jy sie pyta:

— Cy podoba, moja babko, zeby moja zuna mniała dwoje?

— I ni, wejcie podało sie, ze jedno bedzie, ale zato i wy bedziecie mnieli drugie.

— O pewno, pewno, bo mnie jakoś brzucho strasnie urosło duze i jakoś me juz boli.

Una babka pejda:

— Ale wy ni mozecie tu chorować, tylo musicie iść na góre zlegnąć.

Posła una babka na góre, posłała mu, ale wywirciła dziure w suficie. Un przysed, układ sie, a una wziena uwiązała go za ptaka

i przeprowadziła śnurek na dół przez te dziure. Ale ta kobita zacyna rodzić; jak raz zastękała, to ta babka leci do śnurka i ciągnie za śnurek. A un chłop krzycy z bólu:

— Ola Bogal

Kobita znów krzycy, una go znowu ciągnie i tak prec: co ta kobita raz zastęka, to un znowu drugi raz stęknie. Wpółty go tak męcyła, az sie te dzieci urodziły. A un sie wciąż ty babki pyta:

— Babko, a prędkoz to bedzie?

Jak Pan Jezus dał te dwoje dzieci, una go esce gorzy ciągnie z cały siły. Un sie drze, a una pejda:

— Nie krzyc, a bo to wej ostatek, zara urodzis.

Wziena jednego dzieciaka, posła do tygo chłopca na górę, obsykowała go i pokazuje mu dzieciaka:

— Widzis, wej gadałeś na swojo zune, ze mniwa bliźnięta, a tera wej Pan Jezus dał jy jedno, a tobie drugie, boś zgrzysuł.

Un pejda:

— O moja babko, juz jabym wolał, zeby una i troje mniała, a zebym ja tygo bólu nie cirzpiął, boć najgorsa to ta choroba.

Una babka pejda:

— Nu moze tera zlizies z góry.

Un chłop próbuje, ale ni moze zliźć, bo mu tak popodrywała, tak mu popuchło; le-dwie go zwlekła; usykowała mu łózko, układ sie i lezo: na jednym łózku chłop, a na dru-giem ta igo zuna; a ta baba jedne dziecko położyła przy niem, a drugie przy ni. Ale ten chłop sie martwi i pejda:

— Ale to nic, ale cem ja bede tygo dzie-ciaka karmił.

A ta babka pejda:

— Na to ja ci nic nie poradze; musis chy-ba dobrze obyńść te swojo zune i prosić jo, to moze una bedzie oboje karmić.

Dopiro un jo prosi serdecnie, zeby i te igo dziecko karmiła. Una je wziena i karmi obo-je. Ale niezadługo una kobita krzycy na nigo:

— A wpókyz ty bedzies lezał? jakem ja lezała, toś ty na mnie wymyślał.

— Bo —pejda—moja zuno, bo ja nie wie-działem, ze to taki ból, ze to tak trzeba cho-rować.

Ale jak un ozdrowiał, trzebaby jem iść do wyvodu. Ta kobita posła wprzód, wziena wywód i księdzu obznajmiła o tem i opowie-działa cało osnowe. Tak dopirój ksiądz pejda:

— To go wysykej, to ja mu tu dum wywód.

Kazał ksiądz dziadowi odyjąć line od dzwun-ka i mnić w pogotowiu; dziad go wpraw

do kościoła, a ksiądz jak go zacnie lać, lać; jak go tak wywiód, un chłop idzie do dumu do zuny i pejda:

— Ród jak ród, ale wywód to esce gorsy buł bolący.

Ucałował zara te swojo kobite, przeprosił jo i powieda:

— Juz ja tera ci nic nie powiem, chocbyś i parke mniała, boć to wola boska taka; co Pan Bóg da, to niech i bedzie.

(Opowiedziała Juljanna Gortatka).

86. O JEDNEM CHŁOPIE, CO MNIAŁ ZŁO ZUNE.

Jeden gospodarz mniał tako zło zune, ale nie wiedział co z nio zrobić; ale posed razu jednygo do boru i nalaz tako głęboko studnie, a w ty studni siedział zły. Dopiro un chłop myśli sobie:

— Trzebaby z nio iść na spacer i wrzucić jo do ty studni.

Ale raz w niedziele una była taka dobra na nigo i wybrali sie oboje i pošli na ten spacer. Chodzo tamój po tem lesie, un jy różne rzeczy tamój pokazuje, ale przychodzo nad te studnie; un sie schyłł i patrzy w te studnie i powieda:

— Patrzajno, jaka tamój woda piękna.

Una sie schyliła i tyz patrzy, ale jak jo pchnie kolanem, una buch wleciała w te studnie. A un zawrócił sie i przysed sobie do dumu. Za jakieś tam dwa tygodnie, taki ciekawy, co sie to z nio zrobiło, cy una wysła na wirzch, cy jak? Ale przychodzi nad te studnie, a zły wygląda z wody i pejda:

— O mój bracie, jakeś ty móg z nio wysiedzić? Ileś ty z nio wysiedział? Ale, bój sie Boga, wydostuń me ztąd, bo ja tu nie wytrzymum z nio dłuzy.

Un chłop pejda:

— Ale jakze ja ciebie dostane?

— Weź ułum długi gałęzi, wpuść my jeden brzyg, a drugi trzymaj, to ja sie ucypie jednygo brzega i ty me wyciągnies. To jak ty me wydostanies, to ja cie panem zrobie.

I ten chłop go wydostał. Dopiro ten djaból pejda:

— Ja tera póde do jednygo pana, tam so trzy córki, to ja w jedno wlece; to wej nazwozo rozmaitych dochtorów, ale nicht jy nie bedzie móg nic zrobić, a jak ty przyjadzies, to ja zara z ni uciekne. Ten pan da ci za to duzo piniędzy. A ja potem póde do takigo pana, co ma jedno córke, to i tamój w nio wlece, to mozes i tam przyjechać i ztamtąd me wygnas i tyz ci dadzo pinię-

dzy i bedzies ich mniał juz dosić. A jak ja wlece w trzeciem mniejscu, to nie przychodź tamój wcale, bo jakbyś przysed, tobyś juz nie zuł więcy.

Un chłop sie rozsed z niem i posed do dumu. A un ciort posed do pana i wleciał w jedno igo córke; zwozili różnych dochtórow, ale zaden ni móg pomódz; przyjechał i ten chłop i złe od raz same uciekło. Ten pan dał temu chłopoju piniędzy i odeskał go do dumu. A ten ciort posed do pana, co mniał jedno córke i wleciał w nio; zadne dochtory ni mogli jy pomódz, ale przyjechał ten chłop i ciort uciek. Tak ten pan dał mu piniędzy temu chłopoju i un juz buł panem. Ale tak sie rozniesło po okolicy, co un tak moze, co un taki mądry. Jak tyz ten ciort wleciał w trzeciem mniejscu w panne, zara sie nie pytajo, tylo jado po tygo chłopu. A un sie martwi, bo nie wi co zrobić, jak po nigo przyjado. Ale przyjechali do nigo i chco go brać w te trzecie mniejsce. Un sie tłumacy, ze chory, różne sposoby wynajduje, ale nie chco mu ustąpić, tylo kuniecznie napirajo, ze-by jechał. Nareście ten chłop pejda, ze pojadzie, ale musi mu esce dzień zeńść, co sie musi przysykować. Przez ten dzień posed te babe martwo juz z ty studni wydostał, obinół jo i nazajutrz jadzie z nio. Jak przyje-

chali do tygo mniasta, un nie chce z tem furmanem jechać do ty chory, tylo pejda:

— Ja mum pare sprawunków, muse tu zostać; ale ty jadź, a ja jak sprawie, to i sum przyńde.

Wzion posed i kupił sobie takie tacki; te babe wsadził w te tacki, jakby zwykiem siedziała i jadzie dopirój. Jadzie po bruku, a te tacki tak urdu, urdu kole ściany; ten djabół usłyszał łozgot i wygląda oknem z ty panny; obacuł go i pejda:

— On jo i tu wiezie!

Jak chłop stanął i chce jo niść do pokoju ten djabół jak buchnie oknem na dwór, uciek i juz więcy nie przychodził. A ten pan dał jemu chłopoju duzo piniędzy i stało sie.

(Opowiedział Wojciech Skorupski).

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

Prowincjonalizmy zawarte w tym tomie.

Ajnu, ajno tam.

Bojaż wojaż, podróż.

brak potrzeba np. jemu nic nie brak (nie mu nie potrzeba).

bryznąć szybko biedz, uciec, wyskoczyć zerwać się.

Chamrać grzebać, skubać.

chrap błoto.

cyrznie tarnina, cierń.

Dowolna dosyć, dostatecznie, obficie; np. dowolna było na weselu narodu.

domniścić doprowadzić do miejsca.

drasek robotnik, młócający zboże cepami.

drażba młócka zboża cepami.

drybus naczynie do wody niskie, a dosyć szerokie.

Galka sosna wyniosła.

gleń, glonek kawał, kawałek.

Jesionezny jesienny.

Karpa korzenie z drzewa odcięte razem z pniem.

kotlina kuchnia angielska.

krosna warsztat tkacki; robić krosna robić płótno.

kulas kij zakrzywiony.

Łup w porównaniach oznacza wyższy stopień doskonałości np. zboże jak łup.

Majtnąć przechylić, rzucić coś lub czemś.
mojaz rodzaj wykrzyknika.

Nacirzknąć naczerpnąć.

na wcale na własność; np. dostałem od ojca chałupę na wcale.

Oređować pytać się kogoś, dawać znać.

Pańscyżna robotnicy najemni; robota we dworze.

pasionka pasienie.

pecyska niedopalone resztki z ogniska.

płuzycyca pług, socha.

podać się zdać się, przydać się; coś podaje się coś jest podobnem.

poklepie resztki, pozostałe po oklepaniu lnu.

ptak penis.

przycynić, doprzycynić wyrobić (o chlebie i o cieście).

przypilić pilnie coś nakazać.

Radzić mieć moc podnieść lub dźwigać.
Reki dyabeł błotny, pilnujący zakopanych
pieniędzy.

rumować robić hałas, dobijać się.

Siedź cicho bądź, milcz.

skiełk zgiełk, hałas.

skrząta spokój.

Starbać kulać, upadać na nogi.

Towarzystwo zaciągnąć pożyczkę zaciągnąć.

Ugodno podoba się.

W dubelt razy dwa razy więcej.

włók brona.

wozisko wóz.

wybebeszyć oczyścić z wnętrzości.

wybębnić, wyłotosić wybić.

wynawiać robić coś nowego, niezwykłego, wpro-
wadzać zmiany.

wyręka pomoc, wyręczenie.

wywabić wywołać, namówić.

wywarować (o czasie) upłynąć, przejść.

Zaga, zazka piła.

zasupić się zadumać się, zamyslić się.

Żdychnąć przebić, uderzyć.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	5
47. O lwie	7
48. O Maćku i bernadynie	10
49. O zbóju, co wołał „Poklekaj”	12
50. Odmianka tegoż opowiadania	14
51. O dwóch braciach, o jednym bidnem, dru- giem bogatem	17
52. O jedny pokojówce i o ziabie	21
53. O kośniku	22
54. O psie, co był siewcem	24
55. O jednem chłopie i niedźwedziu	28
56. O trzech siostrach	30
57. O młynarczyku i o djable	36
58. O starem psie	38
59. O jedny pannie i jy kawalirze	40
60. O siwem gołąbku	42
61. O jednem panie, co z bidnemy obiady jad.	47
62. O cyrwunych butach	51
63. O śmirci i o chłopie	52
64. O mądrem Maćku	54
65. O mężu, co na zune gadał	56
66. O leniwy kobicie	58
67. O jednem dziadzie	60
68. O towarneum subjekcie.	62

	<i>Str.</i>
69. O Matce Bosce i jednym dziwuse . . .	66
70. O macose i jej pasirzbicy . . .	70
71. O jednym panie, co prześkadzał po śmirci	78
72. O jednym głupim . . .	81
73. O trzech kuniach i trzech braciach. . .	85
74. O wiatrze . . .	91
75. O matce świętego Piotra . . .	92
76. O ścikalny górze . . .	93
77. Jak sie iz z zającem uścigał. . .	97
78. O jednym młynarczyku. . .	98
79. O jednym djable, co u chłopca słuzył . . .	100
80. O jednym panie i jego kucharzu . . .	124
81. O leniwem parobku . . .	126
82. O pilgrzymie . . .	128
83. O trzech braciach . . .	132
84. O lucyperze . . .	139
85. O jednym chłopie, co dzieciaka mniał . . .	141
86. O jednym chłopie, co mniał zło zune . . .	145
Słownik prowincjonalizmów. . .	149



Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000968097



II 756975

**NARODOWY
ZASÓB
BIBLIOTECZNY**